POMERANIA

CZYTELNIA CENZURY

1
1977

Redaktor

Wojciech Kiedrowski

Sekretariat

Krystyna Puzdrowska

Kolegium

Konrad Ciechanowski
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
Stanisław Pestka
Edmund Puzdrowski
Jerzy Samp

Wydawca

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zarząd Główny
80-828 Gdańsk
Długi Targ 8/10
Tel. 31-36-56
Konto PKO:
Gdańsk 19510-5890-132

Cena 1 egz. 15 zł. Prenumerata roczna 100 zł

Druk. Gd. Wyd. Pras. Drukarnia Zam. 3123 — N-7

POMERANIA

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

Rok XIV 1977 Nr 1 (72)

W numerze:

2 ZBIGNIEW FLORCZAK – O Różyczce
5 WIKTOR WOROSZYLSKI – W blasku
6 JERZY GOLIŃSKI – Ochrzcili ją Różą
9 MARIA ORLIKOWSKA, HELENA CHOMIANOWA – O Józefie Bruskim z lat wczesnej młodości wspomnienie
11 KAZIMIERZ OSTROWSKI – Rozmawialiśmy przez wiele lat
14 WOJCIECH JANKIE – Spróbujmy raz jeszcze
15 STANISŁAW PESTKA – Raptularz z wyprawy do Kępna
16 KAZIMIERZ OSTROWSKI – O „Czôrlińscim" bardzo osobiście
18 EDWARD BREZA – Skąd pochodził Czôrliński
20 JERZY RAWA-GAWRYCH – Wojenna droga
22 ANNA ŁAJMING – Wspomnienia. Dzieciństwo (8)
28 URSZULA OLSZEWSKA – Pamiętnik
31 FELIKS MARÔCZK – Moje nepczi
31 ALOJZY NAGEL – Bazuna (nowe bajki kaszubskie)
34 JERZY SAMP – Wosk i cyna; Ars moriendi; Z nocy listopadowej...
35 GUCZÓW MACK gôdô: Gustk, Odwdzęka; Z kozłem na hamster; O otrębach i cëbulë
38 TERESA KANTELECKA – Miłość przypisana
39 EDWARD BREZA – O pomorskich nazwach geograficznych zakończonych przyrostkiem – owo
40 T. BOL. – Lektury
41 Kleka
42 Z życia Zrzeszenia

Mijają dwa lata od ich odejścia na zawsze. Józef Bruski zginął tragicznie w grudniu 1974 r., Róża Ostrowska zmarła w marcu 1975 r. Dwie indywidualności, których brak odczuwają nie tylko osoby im bliskie.

Publikujemy dzisiaj trzy wspomnienia o Róży Ostrowskiej, dwa o Józefie Bruskim. Pierwsze ukażą się wraz z innymi materiałami zapewne w książce przygotowywanej przez Wydawnictwo Morskie, drugie w książce przygotowywanej przez Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Drukując ten interesujący materiał pragniemy również nakłonić naszych Czytelników do spisania swoich wspomnień o wielu innych barwnych postaciach związanych z naszym regionem.

REDAKCJA

O Różyczce

Zbigniew Florczak

Należałoby to wspomnienie rozpocząć jakimś solidnym aforyzmem o śmierci tej nagłej i niespodziewanej, o której mówi modlitwa. Dajmy sobie spokój. Śmierć znajduje się extra muros naszego areału ludzkiego, nie jest w nas, nie należy do nas — i na zawsze zostanie poza naszym doświadczeniem. Umarli nie przekazują swoich doświadczeń. Jedyną prawdą wymierną jest, jak kto doszedł do momentu śmierci: marnie, przypadkowo, biernie — czy uczciwie i nie cofając się przed wysiłkiem.

Przytoczę parę fragmentów z dwóch ostatnich do nas listów Róży. Najpierw pisała 13. 09. 1974, z Wdzydz. W tej okolicy ściśle kaszubskiej często się odzywał pozornie obcy, a w ogóle zapomniany dialekt wileński. Mówię pozornie — bo w końcu okolica i do tej mowy nawykła, tylu tam było, prócz nas, wilniaków z Gdańska, z Olsztyna, a nawet ze Szczecina. Pielęgnowaliśmy tę mowę, między sobą, ze smętną żartobliwością. Tak też pisała najczęściej Róża. Na maszynie, która zaczęła pod koniec grymasić, o czym też będzie wzmianka.

„Kochani. Dziękuję ja Wam za pismo Wasze, cóś ja czułam, że radość jakaści bendzi od rana, bo oka prawa mnie swendziła, a wiadomo: oka prawa radość dawa, oka liewa łzą wylewa.

W pierwszych słowach mego listu obznajmiam ja Wam, że w dobrym zdrowiu pozostaję, czego i Wam życzę. Musi co wszyscy przeniesiem się na wikt do dochtora P..., niechaj jemu Pan Bóg zdrowie da i pieniendzy.

Co do stanu zdrowia mojego to już z wszystkim musi zdrowa, jak bendzi temu ze trzy dni wiersz napisała. Wiadomo, nim do siebie wróca, nim do rozumu dojda tak już na sto dwa, proza trudniej mnie idzi. A wiersz, to już sami wiecie: rach ciach i zawsze cokolek wyjdzi, gorzej lepiej, ale poezyja jest, mnie podoba się, owszem. Niczego sobie. Tytuł jego: „Telegammaterapia". To już Wy sami widzicie, że dobrze ze mną jest.

Z prozo gorzej. Co sionda i mocno, mocnieńko skupia sie, zaraz mnie i spać chce sie. Myśli moje nudne so, może być, co one jeszcze i nie ze wszystkim wyzdrowieli. Ale tak, to z dnia na dzień grubsza jestem i przez to piekna bardzo, jak nigdy nie byłam. Czasem i na starość co dobrego człowieku zdarzy sie, tak i mnie zdarzyło sień.

Grzyby do tej pory rosnąć nie chcieli, susza wielka była, no ale teraz deszczyk co i raz popaduji, może bendo. A tak to we Wdzydzach wszystko w porządku: cisza taka, jakby i dwadzieścia lat nazad, co to ani letników, ani innego żywego ducha, tylko miejscowe pijaki. Bardzo nam tu z sobako Szarykiem dobrze, któren pięknie kłania się wszystkim. Drogie dziecko moje, Alżbieta, z zagranicy powróciwszy, bardzoż ukontentowana, podarunki wręczywszy, na swojej wiosce przepadła. Mówi, że w lutym musi co z Leszusiem dziadkami zostaniemy sie. My, owszem, możem — tylko szkoda, że dzieci ryczo. I niańczyć my już niedługo nie będzim, sami niezadługo niańki zapotrzebujemi. Ja wprawdzie zdrowa jestem, Panu Bogu i przyjacioły dziękując, ale Lieszuś bardzo chory, potworne bóle to tu, to tam atakujo, sprawa cienszka...".

Tu maszyna do pisania zaczyna bruździć, więc od tego miejsca powtarzają się słowa bez tak ważnej u nas samogłoski „e" i to mi przypomina, że maszyna Róży jest, delikatnie mówiąc, gratem cierpiącym na różne niedostatki sprawności. Nie należała jej właścicielka do osób lubujących się w naprawianiu, pucowaniu i chuchaniu. Przedmiot musiał się jej oddać bez reszty, do ostatniego stopnia zużycia, nie znosiła postawy kultu w stosunku do otaczających ją praktycznych rzeczy. To było w pewnym sensie proste i nawet imponujące, ale czasem mnie irytowało: ten sam, mianowicie, feudalny stosunek miała do książek. Żadnego oszczędzania! Książka to nie bibelot, mówiła. Tam się na marginesach pisze! Tylko wtedy książka jest moją książką...

Ja, który w domu walczę beznadziejnie o ocalenie książek przed szczotką elektroluksu i impetem czystości, który je bandażuję wstrętnymi, szeleszczącymi owijaczami z plastyku — syczałem wtedy boleśnie: „Różo, Różo, bój się Boga!". Nie była ta Róża formalistką, jak u Tuwima, o nie.

Dalszy ciąg pierwszego listu:

„...Litera „e", patrzaj, mnie w maszynie złamała sie, ot, nieszczęście, mówia ja Wam: nie mogło to „x" złamać sień? W tych warunkach to już i pisać list mnie nadojadło, wszystko człowieku przeciwne, nawet ta maszyna, chaj jej choliera.

„Patrzaj, ile tych „e" w polskim języku —!

Szkoda, że Wy mnie nie odwiedzili, ale tak czy siak my zobaczymy sień, bo ja już coś tak ze zdrowiem rozbuchawszy sie, że na Zaduszki do Warszawy wybrać chce sie, to i Wam nie daruja... Fragmencik prozy przyśla, tylko maszyna naprawia, bo jak inaczej?..."

Prozy obiecanej nie przysłała. Na pewno ten fragment wchodzi teraz do tego wyboru. Raz jeden (w ostatnim czasie) czytała nam coś dłuższego u siebie w domu, na Partyzantów, wieczorem. Z widocznym przejęciem. Któż nie jest przejęty czytając przyjaciołom tekst daleki od przewidywanego zakończenia. Odnosiło się wrażenie, że czyta pierwszą wersję, brulion, bo i papiery trzymane w ręku na to wyglądały — czego zresztą nie można być całkowicie pewnym, bo każdy po swojemu traktuje maszynopis aż do chwili oddania w wydawnictwie. Tym bardziej Róża, z jej nienawiścią do cackania się z rzeczami. Więc może to już była wersja przedostatnia.

Przedostatnia! Wszystko się u Niej skończyło w tym zespole czasu, który nazywamy przedostatnim.

Przepiszę teraz część drugiego listu, datowanego z Wrzeszcza, 18 I 1975 roku. Odręczne pismo bardzo niepewne. Obrys literek się kruszy.

„Moi Bardzo Kochani! Już pewnie zauważyliście, dlaczego dotąd nie napisałam: ręka mi się trzęsie tak, że piszę z zaciśniętymi zębami. Jest to wynik bezsenności, której uległam w połowie listopada. Parę dni trwało, zanim mnie z tego interesu wyciągnięto, ale wyciągając — rozpruto dokumentnie mój system nerwowy. Od tego czasu albo śpię bez żadnej myśli — ot tak, od razu 10 godzin, albo odwrotnie — wcale nie śpię. Jest to bardzo denerwujące, usiłuję się leczyć, we wtorek mam iść na kilka dni do szpitala, choć samo to słowo napełnia mnie wiecie czym. Oni nic nie wiedzą, ci lekarze, chcą mnie teraz wziąć na radiologię, czy inne jakieś licho... No zobaczymy, wiem, że muszę się ratować, ale to ciężki obowiązek...

Widzicie, kochani, że ten liścik nie jest do śmiechu. Ale przezwyciężmy ten nastrój podły i piszmy o czymś weselszym.

Czy Wy sobie uświadamiacie, że za półtora miesiąca (a może nawet i mniej) my zostajemy d z i a d k a m i? Jest to fakt oczywisty i byle tylko wszystko się udało... Trudno mi sobie wyobrazić siebie jako babcię (bo Leszek to już tak, biedaczek zdziadział przez tę moją chorobę, że hej). Ale jakoś trzeba będzie. Zresztą myślę, że to wszystko ułoży się zupełnie inaczej, niż człowiek sobie wyobraża. Bo tak jest zawsze. Na przykład dowiadujemy się, że urodziły się bliźniaki. Chłopak dla mnie, dziewczyna dla Leszka. Oni sobie będą bimbać, a dla nas wesołe kłopoty... Nocniczki, pieluszki, wrzaski w nocy. Leszek oszaleje! Ale to wszystko żarty i to takie naciągane...

Rzeczywiście ukazał się Bedeker kaszubski. Po dwóch przeszło latach siedzenia w drukarni. Jest to przedziwna sprawa, dzieci, bo człowiek nie ma już stosunku do książki. N a p r a w d ę n i e m a! Za długo to się pichciło, za długo nie miałeś tekstu przed oczami i właściwie — nawet czytać się nie chce! Może to wreszcie minie, ta chandra autentyczna (?), ale na razie jest. Książeczkę oczywiście dostaniecie, tylko muszę zaopatrzyć się na nowo, bo już mnie obrabowali.

Drogie dzieci, Florczaki! Opis z listu Zbyszka, jak to wy zabraliście się do budowy na ul. Rzymskiej, przekracza sam siebie. Widzę to wszystko. Ale widzę też coś, o czym Zbyszek mało napisał — że Awulka jest z tym wszystkim szczęśliwa... I ona Was wybuduje, to ręczę — to właśnie dla niej ta udręka, to wysilanie się teraz na rolę „kierownika" budowy, ten upust energii, woli — już dawno nie widziałam takiej okazji dla pasji Awulki! No i co za wódkę my wypijemy, kiedy przyjedziemy do Was na Rzymską — nie na żadną Dzielną, ale — Rzymską! Odwieźć trzeba będzie nas samochodami, na szczęście my już też jesteśmy zmotoryzowani!

Nie umiem teraz napisać listu na maszynie — wszystko wychodzi krzywo. Rozumiecie to, prawda? Więc przyjmijcie to, co tu jakoś nagryzmoliłam, jako dowód największej przyjaźni i serca, naprawdę. Trzymajcie się w tym „dobrym" 1975 — może będzie lepszy niż poprzedni... Wasza Róża".

Jestem przekonany, że dla Niej te okolice kaszubskie wokół Kościerzyny, z wioską Wdzydze faworyzowaną niczym oko w głowie, spełniały zastępczo rolę utraconych, bardzo podobnych okolic wileńskich. Jako człowiek o podwyższonej temperaturze uczuciowej, ciekawy krajobrazu i jego miejscowych treści, musiała sobie wyszykować nowe miejsce do kochania. Z tym trzeba się urodzić, nie wszyscy pisarze odznaczają się tym natężeniem i skonkretyzowaniem uwagi na wybranym otoczeniu; przeważnie pisarz, jest stylistą od biurka i lampy.

Pamiętam Różę-dziecko ze słynnych podwileńskich Zielonych Jezior, otoczonych drzewami i wzniesieniami. Ledwie-panieneczkę kąpiącą się u brzegu wraz z siostrą Leszka, jej przyszłego męża. Nie zwracało się na nie uwagi. Zajęci byliśmy właśnie „Jasiem", żaglóweczką P7 i układaniem retorycznej piosenki natchnionej przez atmosferę drugiego roku wojny. Zaczyna się od słów patetycznych:

Róża Ostrowska podczas obrad II Zjazdu Literatury Kaszubsko-Pomorskiej we Wdzydzach w 1972 r. Obok Izabella Trojanowska, Augustyn Necel i Edmund Puzdrowski; w głębi Jerzy Samp.

Nie znamy portów,
Jeden mamy brzeg,
A wiatru pienie
Starczy za lek...

Bóg, szaleńców król,
Los nam wykuje,
Złagodzi ból...

Kto ciekaw, jak to mogło brzmieć (na pełnym jeziorze!), niech sobie tekst prześpiewa pod melodię „O sole mio..." Jeszcze dziś to śpiewamy z Leszkiem, starym, jak dobry kawał, wzrosłym w moje życie przyjacielem — a jeszcze tak niedawno śpiewaliśmy to we czworo z naszymi dwiema żonami. I to bez fałszywego zawstydzenia z powodu tych koturnowych wyrazów, jak Bóg, jak szaleńcy, jako los i ból. Zielone Jeziora koło Gulbin (Rzesza) na Wileńszczyźnie nie były tak rozległe, jakby wynikało z nostalgicznego pogłosu piosenki, ale cóż to ma za znaczenie. Łatwo dziś śmiać się z tego. Jednak proszę sobie uprzytomnić stan niektórych umysłów w 1940 roku i nasz wiek wziąć pod uwagę: Leszek przekraczał dwudziestkę, ja miałem osiemnaście. Właśnie nie udała się nam ucieczka z okupacyjnego worka, przez Kowno, Estonię i Norwegię — do Anglii. Bić pragnęliśmy się przecież, to jasne! Pojechaliśmy do Kowna, wypiliśmy u wujostwa ostrą mrożoną wódkę z jakimś podchorążakiem, który też wiał gdzie należy: aż tu raptem krótka i węzłowata wiadomość o zajęciu Norwegii przez Niemców zlikwidowała szlak przerzutowy. Wór się zawiązał.

Stąd słowa o Bogu i o nie znanych portach i o leczących właściwościach wiatru. Niestosowna jeremiada? Ależ nie, bardzo stosowna, jeżeli się zna okoliczności. Różą miała nieomylne ucho w sprawie poezji, a przecież nas nie wykpiła, potem śpiewała to z Leszkiem, swoim mężem, z moją żoną, którą nazywała Awunią i ze mną.

W każdym razie te pagóry i Jeziora Zielone, czy wszelkie inne na Wileńszczyźnie, w stronę Trok, We-

rek czy Druskienik, razem z mulistą mową polsko-białoruską, która w uchu do końca życia zostaje, zamieniła Róża na wypukłości i wody Pojezierza Kaszubskiego, na śpiewany — nie bez analogii do dialektu wileńczuków — język kaszubski. Zresztą zaraz się okazało, że to nie namiastka, tylko sprawa serio. Pozostałości kapitału wywiezione z kraju dzieciństwa inwestowała tu, w kraju adoptowanym i wnet kapitał urósł, dobrowolny związek i wybór stały się drugą naturą. Nigdy nie widziałem człowieka pokroju Róży, pisarza, teatrologa, pożeracza książek, który się tak rozkoszował (dosłownie i w przenośni) chodzeniem boso w kurzu i trawie Wdzydz. Nie dla fasonu i nie dla mody: w ogóle nie na żarty. Urządziła tam sobie chatę. Pracowała, ale nie w osobności i dla osobności, tylko z pewnym, nie do naśladowania, zmysłem towarzyskim, między przyjaciółmi Kaszubami. Nawiasem mówiąc, teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jak wielką rolę w usposobieniu i życiu Róży grały przyjaźnie: z ludźmi, z psami, z kotami. Spontaniczność tych kontaktów — a przecież była jakże wybredna — świadczyła po prostu o talencie, który w niej nieskończenie podziwiam, bo sam tak żyć nie odczuwam potrzeby i nigdy bym nie potrafił. Toteż moja żona i ja nigdy nie byliśmy wspólnikami tego życia we Wdzydzach, zawsze byliśmy tylko gośćmi, za to wystarczająco długo i w przeróżnych malowniczych okazjach, żeby to podpatrzeć i zrozumieć.

Śmiech tam aż nazbyt często rozpychał ściany chaty. Ale nie, nie chodzi o zwykły sobie śmiech, jako śmiech. Nie uprzedzonemu czytelnikowi należy się tu wyjaśnienie: wszyscy czworo głęboko i wiernie kochamy się w rzeczach śmiesznych. W humorystycznych sytuacjach, spięciach, ludziach i przedmiotach. Totalnie więc — ale, z drugiej strony, na podstawie doboru, którego przesłanki, byłoby trudno wyjaśnić. Nie ma w tym złośliwości. Niczego i nikogo to ośmieszanie nie krzywdziło. Najczęściej ośmieszało się ludzi s w o i c h, przyjaciół, kumpli, facetów i facetki (wyrażonko młodego Żeromskiego), ich mowę, czasem wileńską, ale niekoniecznie; ich pijacką, surrealistyczną, jak to się u nas mówiło, f i k s a c j ę. Z nami włącznie. Sami siebie przede wszystkim ośmieszaliśmy do łez. Zresztą mistrz rytuału, Leszek, z reguły zaczynał od siebie... To on w bezwzględnej większości wypadków pustoszył nam trzewia i dusze, że chwytaliśmy się za podołki, ciężko jak wyżły ziając. To były dni i noce!

Technika tego przewidywała chytreńki rozruch, niby nic i można ją za Różą nazywać od sakramentalnego zaproszenia: „No i żesz opowiedz, jak to było...!" Elegancki Leszek się kryguje, daje szanse żonie (bo wszyscy znamy treść na pamięć): „Nie, nie, Runieczka, to ty, to ty..." Przeważnie jednak już bywa za późno, bo właśnie mu język w gębie przebiera nogami jak koń i na obliczu widać wszystkie znamiona gotowości, poważny cień wzbierającego natchnienia... Więc zwykle jemu przypada tenorowa rola. Śmiech ten silnie tkwiący w powtarzających się, choć niby rozmaitych między nami okolicznościach (miały w sobie coś jednorodnego) — nie jakieś repetowanie numerowanych kawałów! — był najlepszym przewodnikiem wydzielającej się wtedy energii, na którą nie ma definicji i która, odnoszę nieodparte wrażenie, tylko do nas należała.

Może ktoś z czytelników zawadził kiedy o Wdzydze nocą, a nawet świtaniem i osłupiały wpatrywał się w żółte okna chaty za zatoczką, na urwistym pagórku nad szosą (własność Maksa Knuta, kowala), podnajmowanej od lat przez Różę: pewnie nie mógł sobie wytłumaczyć nieprzytomnych eksplozji chóralnej wesołości, które kończyły się często spiczastym kwiczeniem. Pytał się może siebie, jak to jest, że aż ściany chaty falują na zewnątrz od podniesionych głosów, ale psy nie szczekają. Psy były przyzwyczajone. Nie mówię już o własnych psach Róży, o jej nieodstępnym kundlim dworze, który dopiero we Wrzeszczu, na Partyzantów, występował w komplecie. Trzeba do tego dodać koty, czy raczej kocury.

Tylko niechże sobie czytający to wspomnienie nie wyrobi zdania, że charakteryzuję tu jakieś (jeszcze jedno) dziwactwo. Ludzkie dziwactwa są niesłychanie piórogeniczne (neologizm na podobieństwo fotogeniczny), to samograje literackie, jak wiadomo. Byliśmy towarzystwem, jako całość zwłaszcza, barokowym. Róża kochała barok w literaturze, stąd jej najpiękniejszy utwór teatralny „Historia o Łazarzu". Zresztą pewien jestem, że barok to nie tylko rozdział z dziejów kultury, czy tak zwana estetyczna kategoria, ale wędrujący s t a n u m y s ł u, Polakom dobrze (bo podmiotowo) znany. Życie Róży o tyle było dziwacznym, co każde bez wyjątku życie. Od mnóstwa innych różniło się stylem moralnym: odwagą, bezkompromisowością, wiernością dla własnych miar i przywiązań. O tym wszyscy w Gdańsku i w całym Związku Literatów i bez większej przesady, w całej Polsce wiedzieli. Każdy wyrażał właściwą mu minę — każdy z nas ma swoje oryginalne miny na różne okazje — że dobrze rozumie, co znaczy nazwisko Róży Ostrowskiej. I dlatego, prócz stu tysięcy innych satysfakcji z powodu tej przyjaźni i zażyłości, ta jej cecha cieszyła nas niezmiernie. W czas chłodny dobrze posiedzieć koło pieca. Korzystnie jest obcować z wybitnie szlachetnym człowiekiem, nie ma dwóch zdań. Miała ona zresztą osobny zmysł wyczuwania rzeczy podniosłych — bez ich przerabiania na frazes i pozę. To już jest na wagę złota w naszych czasach, zresztą zawsze było na wagę złota we wszystkich innych cholernych czasach.

Ponieważ mieszkaliśmy w odległości przeszło trzystu kilometrów od siebie, w dwóch całkiem niepodobnych miastach, więc najmniej zebrałem obserwacji o Róży w trakcie jej pracy. Czytałem tylko i widywałem w teatrze. Rozmawiałem o sposobach i ideach (o ideach nie należy zresztą rozmawiać) i perorowałem. Ale to za mało, żeby coś interesującego o jej trybie pracy powiedzieć. Znam skołataną maszynę, która mi przypominała pewne wileńskie do półśmierci zajeżdżone konie. Róża sama uznała, jak widać z cytowanego listu, że najwyższy czas maszynę wyremontować. Nie zdążyła i dobrze, bo jakże niewłaściwie wyglądałaby teraz poskładana błyszcząca maszyna. Jak wiadomo, długo kierowała od literackiej strony teatrem gdańskim. Paskudnym wydarzeniem było jej odejście stamtąd, bo prawdopodobnie był to warsztat pracy dla niej najstosowniejszy. Wyżej ceniłem adaptacje, inscenizacje Róży niż opowiadania i powieści, których zresztą mało napisała. Gdy droga od teatru i do teatru skręciła jej pod nogami — zabrała się do powieści, ambitnej, częściowo na własnej biografii opartej. Nic więc nie wiadomo, czy książki tej żarliwej osoby, tej Pięknej Pani, nie okazałyby się w końcu równie ciekawe i dobre, co utwory sceniczne.

Różyczko, Różyczko — umierałaś w kompletnym wycieńczeniu i pewnie bez jednej myśli w głowie. Ale nam, tu pozostającym jeszcze, w naszej odurzającej niewiedzy, wydaje się Bóg wie co i ośmielamy się wyobrażać sobie, że może w tym ostatnim momencie — czy też przedostatnim — świat się dla Ciebie wysadził na jakieś c o ś niebywałe, w rodzaju spektaklu, w rodzaju syntezy. Może „zapaliło się niebo, rozgorzała ziemia, zwierzęta i ludzie stanęli w płomieniach, buchnęły pożogą góry, wychynęły z piekła ogniste czarty, rozwarły się przepaście, zamajaczyły pustynie, świat cały zmienił się w płomienisko dymnego, krwawego dnia sądu ostatecznego..."

W blasku

Wiktor Woroszylski

Przepisuję kilka zdań z felietonu „Jeszcze powroty i rozstanie", pisanego w ostatnich dniach marca i ogłoszonego w „Więzi" z czerwca 1975 roku:

„...Z upływem lat każdemu urasta i rozrasta się — nie może być inaczej — taki własny nekropol, po którym nie tylko w Dzień Zaduszny pamięć krąży i przystaje z westchnieniem. Niech mi wybaczą czytelnicy, że na swój nekropol pomiędzy groby prowadzę ich czasem; i dziś, niestety, znowu — bo umarła Róża Ostrowska.

Urodzona w roku 1926 w Wilnie, po wojnie osiedliła się w Gdańsku, pisała prozę, słuchowiska, krytyki teatralne — w sumie zbyt niewiele napisała, by należeć do najbardziej znanych naszych pisarzy; i może w ogóle nie pisanie było dla niej najważniejsze, tyle razy wyrzekała się go dla p o p r o s t u ż y c i a, dla zanurzenia się w przyrodzie, w uczuciu, w sprawie obywatelskiej, w namiętności, w przyjaźni; lecz to, jak żyła, też w końcu rzucało szczególny blask na to, co pisała; pisząc więc stosunkowo niewiele i rozmaitych planów nie doprowadzając do końca, w swoich książkach także, zwłaszcza w „Wyspie" pozostała pasmem blasku, zatrzymanym w ruchu promieniem wielkiej urody kobiecej — w każdym, najjawniej uderzającym i najgłębiej ukrytym, sensie tego słowa. Miała w życiu okresy bardzo trudne — potrafiła stawić im czoła z odwagą, szlachetnością i dumą. Niechże będzie tu pożegnana — i pamiętana..."

Tyle tylko napisałem wtedy, poruszony i przygnębiony jej przedwczesną śmiercią — i cóż dodam do tego dzisiaj?

Uważaliśmy się za przyjaciół — i z pewnością byliśmy nimi — ale nie wiem, czy spotkaliśmy się w życiu więcej niż tuzin razy.

Tak, tylko że w każdym z tych spotkań trwa i stoi przede mną wyraźniej niż inni, których widywałem po tuzin tuzinów razy.

Ten blask właśnie, to pasmo blasku, o którym wtedy pisałem — to się ciągle nasuwa — coś trudnego do nazwania i opisania, a przecież uderzająco rzeczywistego — jak prowadzona niewidzialnym reflektorem przechodzi Róża Ostrowska przez półmroki mojej pamięci — w paśmie blasku — sam blask — jarząc się od środka i blask roztaczając.

Po raz pierwszy spotkałem ją w roku 1957 w Warszawie na Wiejskiej, w redakcji „Nowej Kultury" — przyjechali z Gdańska we dwoje z Lechem Bądkowskim i przyszli porozmawiać o wspólnych naszych nadziejach i utrapieniach, opowiedzieć, w jaki kształt u nich nad Bałtykiem, w ich środowisku literackim i teatralnym, przeobleka się to, czym wszyscy żyliśmy w owym okresie, jak sobie radzą, borykają się, próbują wypatrzyć przyszłość.

Ze szczegółów — było mowa, pamiętam, o kłopotach z wystawieniem w Teatrze Wybrzeże „Milczenia" Brandstaedtera.

Ślady tej historii znalazłem po latach w jednym z pierwszych rozdziałów „Wyspy" — sytuacja życiowa, powściągliwie przetworzona w literaturę, uogólniła się w istotny wariant kondycji ludzkiej, wariant powtarzającej się w obrębie tej kondycji próby moralnej, próby charakteru.

Wtedy — wszystko było bliskie, gorące, niepowtarzalne.

Bądkowski snuł rozważania z właściwym sobie kaszubskim spokojem, pogodą i zaciętością, a Róża — bardziej niż z kwiatem tego imienia kojarząca mi się z krzewem kwitnącego bzu — rozświetlała wnętrze pokoju swoją barwną dziewczęcością, wiosennością — bo ówczesną postacią jej blasku, którą zdążyłem się jeszcze zachwycić, była dziewczęcość właśnie, i to, zdawało mi się, ten typ dziewczęcości, który wspominałem przez mgłę tęskniąc za stronami mego dzieciństwa; to ostatnie może było iluzją, ale skąd się wzięło, skoro później dopiero miałem się dowiedzieć, że ona jest naprawdę dziewczyną z Kresów?

I lata miały minąć, nim wysłałem jej kartkę z Wilna, do którego już nie jeździła.

Drugim, z którym zetknąłem się, wcieleniem jej blasku był śmiech — serdeczny, dźwięczny, niepohamowany — było to na balu w „Żaku" — balu Czerwonej Róży czy jakimś innym? — przechodziłem przez salę i usłyszałem ten pieniący się — znowu skojarzenie z bzem rozkwitłym — śmiech; obróciłem się, by go ujrzeć — Róża Ostrowska siedziała z jakimś towarzystwem przy zastawionym stoliku — oczywiście, w tym śmiechu, w tym blasku, w tej zabawie płonął i wibrował również alkohol, ale nie on był źródłem blasku, co najwyżej podsycającym go paliwem, źródło było w niej — ta wewnętrzna radość, zmysłowe otwarcie na świat, wybiegnięcie naprzeciw jego wezwaniu. Spojrzała na mnie bez zdumienia i wyciągnęła rękę, zapraszając do udziału w radości. Było to nasze drugie spotkanie w życiu, ale chyba tego wieczoru wiedzieliśmy już, że jesteśmy przyjaciółmi.

Trzecie wcielenie: blask przemieniony w ciepło, w równą promienistość udziału w koleżeńskiej wspólnocie, w jednoczącym więcej osób solidarnym zrozumieniu, w sytuacji, która była kolejną próbą, świadomie przeżywaną już jako próba; to się działo w początkach grudnia 1964 (czy 1965?) roku, z zadymionych sal zjazdu literatów wychodziliśmy na przewiane mrozem krakowskie ulice, chodziliśmy po tym mieście tak niedzisiejszym i nietutejszym, pod Sukiennicami kupowaliśmy diabełki z czerwonymi jęzorkami i najeżonymi widłami, i gadaliśmy, gadaliśmy jak w olśnieniu, w rozmowach tych świat stawał przed nami wyraźny jak nigdy, okrutny w swojej wyrazistości, raniący, ale nie bez pociechy; to już było po smudze cienia naszej generacji, czy może już przed nią? w każdym razie była to chwila jakoś dla nas znacząca, i wśród ludzi, których bliskość pokrzepiała wówczas mnie i nie mnie jednego, obecność Róży Ostrowskiej — jeżeli bez niej byłoby choć trochę zimniej i ciemniej — liczyła się przecież całkiem osobno.

Wszystkie późniejsze blaski były już odmianami tego; czuło się to, wchodząc do jej domu we Wrzeszczu, i kiedy ona wchodziła do naszego domu na Żoliborzu; gościnnie przyjmowała w blask i odprowadzając później obdarowywała jego nitką na drogę — albo wnosiła go ze sobą jak bukiet kwiatów i pozostawiała odchodząc; i omyliłby się, kto by sądził, że to następujące z latami przeistoczenie jaskrawości w ciepło albo ściślej: przede wszystkim jaskrawości (ale także ciepła) w przede wszystkim ciepło (ale także jaskrawość), oznaczało jakieś znużone przygasanie blasku, jego starzenie się czy ubywanie wśród przeciwności; to było jego mądre oswajanie od wewnętrz i wprowa-

dzanie pomiędzy ludzi w postaci, która ich najmniej onieśmielała.

Bohaterka najświetniejszej z książek Róży Ostrowskiej, „Wyspy", uciekająca przed miłością i szukająca miłości aktorka Monika — ależ naturalnie, postać fikcyjna, trudno jednak nie wyobrazić sobie jako bardzo podobnej do pisarki, która mówi jej głosem — otóż Monika, jakiś czas po przebyciu w deszczu i gorączce do wioski rybackiej, po raz pierwszy, zdrowa i przebudzona, wychodzi na świat.

„Blaski drżały w liściach drzew, blaski migotliwe przesuwały się po ścieżce, którą schodziłam w dół, blaskami załamywało się granatowe jezioro i w dalekiej nad nim przestrzeni też wisiały drobniutkie blaski jako roje świetlistych żyjątek... Nagrzany już piach przesypywał mi się przez pantofle i łaskotał stopy, wiatr uderzał w oczy, a blask kłuł powieki. Szłam pełna ciekawości, co ujrzę za zakrętem zbocza, na ukrytym za kartofliskiem brzegu, szłam coraz wolniej, świadomie opóźniając tę chwilę, szłam lekka, jakby wypełniona przejrzystym i drgającym powietrzem i nagle ów niepokój cmentarny, słodki, tajemniczy, już niemal zgubiony w płataninie lat, podpłynął mi do serca i napełnił je drżeniem..."

A więc zdawało jej się, że ten blask jest poza nią, że z zewnątrz wchodzi w nią i wypełnia jak łaską, i czyni swoją powinowatą, jakąś cząstką tedy jest już i w niej, ale przede wszystkim poza nią.

Nie wiedziała, że od początku jest w niej i stanowi o jej istocie.

A może — nie należy, nie wolno wiedzieć? — może to warunek przeniesienia go w sobie i nie uronienia zeń ani kropli, choć zarazem — hojnego rozdania, wypromieniowania dokoła?

A może — miała rację: on był i jest, niezniszczalny, poza nią, poza nami wszystkimi, ponad nami, odwieczny i potężny jak żywioł — i rzeczywistą łaską jest, kiedy wchodzi w kogoś, czyniąc swoim wybrańcem?

Tak czy inaczej, należała do tych wybranych.

Z listu, datowanego 27 lutego 1971:

„Nie odezwałam się od chwili swego pobytu w Warszawie i wizyty u państwa, bo najpierw był natłok zdarzeń i niepewności, a następnie moje plany ponownego przyjazdu do Warszawy wzięły dość gwałtownie w łeb. Zachorowałam na zapalenie płuc, przeleżałam ponad dwa tygodnie, po czym — dzięki kontrolnemu rentgenowi po chorobie — okazało się, że wcale nie miałam owego zapalenia płuc, natomiast mam początki gruźlicy, która dała znać o sobie właśnie czymś takim — podobnym do zapalenia płuc. Czeka mnie przewlekłe, kilkomiesięczne leczenie — jeszcze nie wiem, czy zamkną mnie w klinice akademii tutejszej, czy, podleczywszy, ambulatoryjnie, wyślą do sanatorium. W każdym razie będę w jakiś sposób wyłączona z życia i normalnej pracy na dłuższy czas, co oczywiście jest dla mnie smutne — zwłaszcza w określonych okolicznościach, kiedy bardzo spieszyłam z nową książką..."

Wierzyła w diagnozę, którą jej zakomunikowano, i pod koniec listu — po dłuższych fragmentach poświęconych sprawom publicznym — przestrzegała troskliwie: „Na wszelki wypadek proszę ten list zniszczyć po przeczytaniu i **umyć ręce**, gdyż — jak słusznie mówi lud — strzeżonego Pan Bóg strzeże..."

Nie posłuchałem przestrogi i nie zniszczyłem listu, chociaż i mnie nie przychodziło do głowy, że prawdziwa diagnoza jest inna...

W najpiękniejszej scenie miłosnej „Wyspy" jest takie zdanie:

„Błyskawica oświetliła nas, klęczących przed sobą, onieśmielonych i roztrąconych tym blaskiem".

W poezji — a tę prozę Róży Ostrowskiej odbieram jako najżarliwszą poezję — tyleż bywa z reminiscencji rzeczy minionych, co z niejasnego przeczucia; czyżby ten fragment sceny miłosnej zawierał też przeczucie gromu, który musi uderzyć, onieśmielenia uczuć przez cios nieunikniony i niepojęty, roztrącenia przez śmiercionośną eksplozję?

Blask ściąga grom; blask gromu jak jastrząb dopada wewnętrzną jasność człowieka i łącząc się z nią — spopiela; i oto nie ma już tej urody, tej dziewczęcości, tego krzewu bzu kwitnącego, tego ciepła przyjaznego i światła.

Lecz nadal Róża Ostrowska pasmem blasku — jednym z nie tak znów licznych w życiu — przechodzi przez półmroki mojej pamięci.

Warszawa, październik 1976

Ochrzcili ją Różą

Jerzy Goliński

Piąty już miesiąc przesiaduję, niewprawny słowotwórca, nad pustą kartką papieru, rozmyślając o Róży.

Bo przecie — de mortuis nil nisi veritas! Oczywiście, maksyma ta winna odnosić się tylko do tych, którzy swoim życiem pomogli nieco rozjaśnić sens takich niełatwych pojęć, jak: małość, wielkość, zło, dobro, piękność i brzydota. Do ludzi, którzy pozostali obecni w naszych codziennych rozrachunkach ze światem. Róża pozostała dojmująco obecna. Więc zasłużyła sobie na prawdę.

Sporo lat trwało nasze kumpelstwo i nasza przyjaźń. Poznałem młodą, piękną kobietę. Znałem coraz bardziej zabiedzoną, postarzałą, rozbitą. Leciał ten czas, leciał — jak kto głupi. W okresie wspólnej pracy w Teatrze „Wybrzeże" przegadywaliśmy setki godzin. Byliśmy chyba przyjaciółmi na złe i na dobre. Na każde. A teraz siedzę, myślę i nie bardzo umiem odpowiedzieć sobie na proste przecież pytanie: Jakim człowiekiem naprawdę była Róża Ostrowska?

Bo że była długoletnim kierownikiem literackim Teatru „Wybrzeże", powszechnie wiadomo. Kierownik

literacki?... Enigmatyczna to funkcja. Bez pragmatyki służbowej, bez godzin pracy, często bez sensu. W dobrych teatrach ma za złe i wybrzydza; w złych zachwyca się każdym chałowatym spektaklem. Ale tak czy owak — stoi z boku. Otóż Róża nie przylegała do żadnego znanego mi wzorca. Długo trzeba było ją namawiać na tę posadę, ale gdy już raz powiedziała: tak — wlazła w teatr z kopytami. Mózgiem i sercem. Od początku myślała per „my", „nasz". Nasz sukces, nasza klęska, nasza frekwencja, nasza premiera... Właśnie — na przykład premiera. W czasie tego przedstawienia aktorzy i reżyserzy chodzą na miękkich nogach. I nie ma się czemu dziwić. Ale, przysięgam, Róża przeżywała każdą premierę w atmosferze takiej paniki i nadziei, jakby dziecko pierworodne miała urodzić. A przecież za udany spektakl nikt jej nie chwalił. To ja, ówczesny kierownik artystyczny, wypinałem pierś po medale i otwierałem portfel inkasując nagrody. A tylko ja wiem, ile w tak zwanych liczących się realizacjach było jej rozumu i wyobraźni. Tfu, kretyńska to instytucja — teatr. Więc niech przynajmniej teraz będzie powiedziane, że gdy Róża Ostrowska pracowała w Teatrze „Wybrzeże", była tego zespołu twardym sumieniem i zwariowanym kibicem zarazem. Nie doczekałem jej odejścia z budynku na Targu Węglowym. Dzięki ci, Fortuno!

Dosyć, nie będziemy się dłużej tłukli w teatralnym maglu. Koniec!

Jeszcze tylko... Skoro znaleźliśmy się w okolicach słowa mówionego. Bo to chyba ważne. Była znakomitą ‚samorodną recytatorką. Zwłaszcza kiedy miała za partnera mikrofon. Pamiętam, w zamierzchłym 1955 roku wywojowała, będąc ówczesnie panią redaktorką radiową, zgodę na realizację słuchowiska według „Zawiszy Czarnego" Słowackiego. Poprosiłem ją wtedy, żeby mówiła tekst prowadzącej dramat. Przekazywała niełatwe sekstyny Słowackiego, jakby cytowała słowa zaprzyjaźnionego, rozumnego sąsiada, z którym przegadało się przy kominku wiele zimowych wieczorów...

Próżno człowiek złotego zboża nagromadzi,
Próżno srebrem i złotem ponapełnia skrzynie,
Próżno stuletnie lipy w ogrodach zasadzi,
Próżno się w tęczę rodem potomków rozwinie,
Ofiara jedna tylko wzlata na kurhany
I lampą jest narodu — duch ofiarowany...

Brzęczą teraz te słowa, brzeczą. Nie można ich ze łba wyrzucić...

Szukając więc odpowiedzi na pytanie, kim była Róża Ostrowska, trzeba by mówić o życiu pięknym, a chyba zmarnowanym; o człowieku, który żył jak chciał i równocześnie błąkał się w sprzecznościach (głupie słowo — wiem) własnej osobowości; wreszcie o kobiecie ogromnie ceniącej swoją kobiecość; co dawało jej siłę, ale i pogrążało w słabości. Zachwycała, lecz, wcale nierzadko, irytowała alogiczną meandrycznością swojego postępowania. Żeby wszystko było jasne: to w stosunku do własnego losu była kapryśna i niezborna. Wobec przyjętych na siebie zobowiązań względem innych ludzi lub instytucji — niezawodna i bezwzględnie lojalna. Powiedziałbym nawet, że do przesady. Albo do naiwności. Albo do wielkości. Jak kto woli.

Wspominam... Na oko, na zdrowy rozum i na inne tym podobne miary zachowywała się — jakby to określili ludzie młodsi o pokolenie — normalnie nowocześnie. Z przekonaniem świadczyła za współczesnością całym aparatem pojęciowym, gustami artystycznymi, sposobem bycia. Ba, lubiła nawet ostentacyjnie obnosić się ze swoją pogardą dla obyczajowości z czasów tłustej królowej Wiktorii. Była także rasowym homo politicus. O sprawach publicznych potrafiła rozprawiać z iście męską pasją. Złośliwi nazywali ją George Sand Wybrzeża. I wreszcie, nie najważniejsze to, chyba nawet zupełnie nieważne, ale charakterystyczne: można było przy niej mówić grubo i tłusto. Nie obrażała się, choć nie przepadała. Na popremierowych alkoholowych biesiadach wspaniała, równa. Słowem, dzisiejszy gość był z tej Róży.

A jednocześnie zadziwiający brak, nie powiem już, że — niemile w kręgach wzniosłych widzianego — sprytu, ale nawet poczciwego rozsądku w manewrowaniu codziennymi ‚bytowymi sprawami. Irytująca wręcz bezwolność (?), lekkomyślność (?) wobec „strzał i razów okrutnego losu". I gdybyż wynikało to ze zwykłego niezgulstwa lub z artystowskiego lekceważenia realiów życia. Ale nie. Wielu zaświadczy, że była zapobiegliwą gospodynią. Chodziła jak Pan Bóg przykazał obładowana siatkami, w których masło, mięso i dziesiątki innych wiktuałów dla ludzi i zwierząt koegzystowało z tomikami Różewicza czy zeszytami „Dialogu". Żywo interesowała się wieściami o tym, co gdzie ostatnio rzucili. Gwoli ścisłości trzeba jednak powiedzieć, że w tej zapobiegliwości przypominała aktorkę precyzyjnie wykonującą tandetnie napisaną rolę.

I jeszcze jedno. Ta nowoczesna kobieta czuła nieprzepartą tęsknotę do staroświeckich gestów. Różnych. Tych drobnych. Tych miłych. Tych romantycznych. Pierwszy z brzegu przykład: dużo paliła (za dużo, Różo, za dużo!), lecz gdy w towarzystwie znalazł się mężczyzna, potrafiła czekać w nieskończoność na podanie jej ognia. Trzeba być dwornym wobec kobiet — zdawała się oświadczać pięknym trzymaniem nie zapalonego papierosa między pięknymi długimi palcami. Dziwaczka!

Ale z kolei wierzyła tak żarliwie w jeszcze jeden rodzaj gestów. Trudnych. Najtrudniejszych. Takich, za które się słono płaci. Potrafiła poświęcać dla nich bardzo wiele. I właśnie w granicznych sytuacjach, kiedy grało się wszystko za wszystko, Róża normalnie aż śmieszna w swojej dziewiętnastowiecznej, tiurniurowatej nieco, delikatności i kapryśności, zapominała o „das ewig Weibliche" i zmieniała się w upartego, głuchego na zdroworozsądkowe argumenty Żmudzina. Różo, Różo dziwaczko! Rarogu nie z tego świata!

Nie miała łatwego życia. Ale pamiętam, gdy w późnych latach sześćdziesiątych, osaczona psami, kotami i łatanym bóg-wi-jak budżetem, zwierzała się ze swoich kłopotów — sprawiała wrażenie osoby dyskutującej o kimś innym. Bliskim jej wprawdzie, lecz nie identycznym. Jakby snuła opowieść o biednym nieudaczniku w rodzinie. Jakby mówiła: „Smutna sprawa, ale w końcu n a s to nie dotyczy".

Albo: była naprawdę solidnie wykształcona. Inteligencja i smak chroniły ją skutecznie od pokus snobizmu i parafiańszczyzny zarazem. Znała teatr, rozumiała jego mechanikę, pasjonowała się nim — więc cieszyła się w zespole wielkim prestiżem (a trzeba znać aktorów; niełatwo kapitulują przed cywilem). Imponowała w nie kończących się teatralnych dyskusjach jasną, bezbłędną analizą. Lecz gdy czasem natrafiała na wyjątkową głupotę, zamiast wyśmiać, opieprzyć, zgnoić jak Pan Bóg przykazał — bezradniała, zamykała się w niemym zażenowaniu. I może to się komuś wyda śmieszne, ale nieodmiennie zakładała wtedy nogę na nogę (wiedziała, że ma piękne nogi), odwracała się do rozindyczonego rozmówcy profilem (wiedziała, że ma piękny profil) i, daję słowo, prosiła tym swoim milczącym profilem: „Miejcie litość, jestem tylko słabą, nieporadną kobietą, proszę mnie nie męczyć". A facet czy facetka patrzyli tępo i cieszyli się, że postawili na swoim. Ta Ostrowska niby taka tego... a tu proszę!

Można by jeszcze długo, ale nagromadzenie faktów, zdarzeń powiększyłoby tylko gmatwaninę linii w tej nietypowej twarzy, niewiele rozjaśniając sedno Różynej osobowości. Przede wszystkim zaś fakty i zdarzenia nie dałyby odpowiedzi na pytanie najważniejsze: Dlaczego tak długo nie pisała? Nie myślę oczywiście o tekstach okazjonalnych, użytkowych).

Bo naprawdę, głównym powodem nie była praca w teatrze, mimo iż absorbująca i żżerająca nerwy. Może się mylę, może przesadzam, ale wydaje mi się, że etat kierownika literackiego stanowił dla niej, w tej materii, wręcz alibi. Młynem teatralnym usprawiedliwiała rozpaczliwą niemożność wystukania na maszynie obrazu świata naszego powszedniego i swojego w tym świecie miejsca. Napisałem: „rozpaczliwą niemożność, ponieważ byliśmy — ludzie jej bliscy — przekonani, że nosiła w sobie wielką, ważną książkę. Że wiedziała ‚co chce napisać, że słowo byłoby posłuszne myśli i że, na dodatek, bardzo chciała. Obiecywała sobie, obiecywała innym, a jednak... brała kolejny tomik Simenona i wędrowała z panem i panią

Maigret bras dessus, bras dessous — po paryskich bulwarach.

Czyżby lenistwo? U Róży? Bzdura!

Mówiono: „Skończyła się, bywa". Ten ulubiony w polskich środowiskach artystycznych termin i w tym wypadku zafunkcjonował swoim razowym jadem.

Otóż nieprawda, nieprawda, nieprawda! Przyczyna tkwiła o wiele głębiej poza sferą talentyzmu, wypalenia się wewnętrznego ognia itp. itd.

Gdy teraz próbuję odnaleźć i nazwać Różę, nie taką, jaką bywała, lecz taką, jaką b y ł a — coraz namolniej szasta się po głowie „Portret Doriana Greya" Oscara Wihde'a. Jak wiadomo, Dorian Grey egzystował, zrządzeniem magicznych sił, wiecznie młody — jak bogowie. Natomiast jego portret starzał się, odbijał się na nim upływający czas i cała życiowa szamotanina modela. Otóż myślę, że Róża padła ofiarą takiego dorianogreyowatego rozdwojenia. Oczywiście podobieństwo tkwi w mechanizmie, a nie w strukturze psychicznej. Zaś w uwarunkowaniach historycznych droga jest tak daleka jak z nieba do piekła.

Bo chyba naprawdę dwie ich było w jednej cielesnej powłoce. Różnych, a wzajemnie nieprzenikalnych. Jedna to właśnie „portret", którym funkcjonowała w społeczności. „Portret" podlegający prawom i wyrokom biologii. Na niego sypały się owe „strzały i razy okrutnego losu", przydające zmarszczek i coraz bardziej pochylające plecy (chyba nigdy nie trzymała się prosto?). Prawdą jest i to, że w tym swoim „portretowym" wymiarze zaznała wiele radości. „Portret" przyjmował gratulacje, zdobywał uznanie i szacunek, prowadził ożywione życie towarzyskie, cieszył się dorastającą córką...

A druga Róża, ta prawdziwa (co jest prawdziwością?), a nierzeczywista (co jest rzeczywistością?), niezmienna — to wieczna polska dziewczyna z piosenki o rozmarynie. Oczywiście z warkoczem w koronę dookoła głowy ułożonym. Trochę z Andriollego, ale o wiele bardziej z Grottgera. I choć dla urzędu mieszkaniowego było jasne, że mieszkała w Gdyni, a później adresowało się listy na ulicę Partyzantów w Gdańsku Wrzeszczu — ta druga Róża nieodmiennie gnieździła się w pachnącym starym drzewem dworku babci Orzeszkowej. Tyle że nie nad Niemnem go w swojej duszy wyciosała, a nad kaszubskim jeziorem. Wśród pejzażu bliskiego latom dziecinnym, przede wszystkim zaś wśród ludzi, których wybrała i pokochała. Bo są to ludzie nieczuli na kalejdoskopowo zmieniające się w naszym dwudziestym wieku kryteria zła i dobra, wielkości i małości. Szanujący słowo i dlatego małomówni. Wierzący, że słowa, jak drzewa, powinny zawsze znaczyć to, co znaczą. Przecież głupio by było, gdyby dąb z miesiąca na miesiąc przemienił się w osikę?!

Na marginesie: właśnie Róża Ostrowska, żeby wspomnieć choćby „Wyspę", podniosła kaszubszczyznę z tego, co regionalne, do tego, co ogólnoludzkie. Słyszałem, że na jej pogrzebie grała kaszubska kapela. Sprawiedliwie.

Kiedy dogadywaliśmy się na temat pracy Róży w teatrze — postawiła jeden, ale za to kategoryczny warunek. Że co najmniej dwa miesiące musi siedzieć nad swoim jeziorem. „Bez tego nie mogłabym egzystować" — powiedziała. Wówczas, przyznaję, pomyślałem (na szczęście nie powiedziałem): fanaberie. Teraz rozumiem ,że w jej słowach nie było żadnej przesady ani egzaltacji.

Dlaczego dopiero teraz rozumiem? Przyznanie się do życiowej klęski jest moim jedynym usprawiedliwieniem. Cóż, człowiek był wtedy młodszy i radowało go, że jest twardziel. Wobec siebie i wobec innych. Wierzyłem, że szkoda każdej minuty nie przepracowanej w teatrze, bo teatr (a jakże!) ma w sobie potężną siłę, zdolną popychać bryłę świata do przodu. Stale do przodu. Marnotrawstwem wydawało się spoglądanie do tyłu czy tez bezinteresowna zaduma.

A przecież byliśmy z Różą prawie równolatkami i powinno już wtedy dojść do mojej optymistycznej mózgownicy, że historia wrobiła nasze graniczne pokolenie, które czasem nazywa się pompatycznie pokoleniem kolumbów, w janusową gębę. A raczej chyba — gęby. I one (gęby) w miarę upływu lat, w rytm pojawiania się zmarszczek i siwizny, będą patrzyły coraz bardziej osobno. Jedna do przodu, druga do tyłu. Albo odwrotnie. I że dwa, przeciwstawne, a bliskie sobie, oblicza będą musiały posługiwać się jednym, bezradnym w tej sytuacji, mózgiem. Wrażliwość Róży, głęboko w jej naturze osadzone sensualistyczne widzenie świata, a może magia imienia, które jej na chrzcie nadano — wszystko to sprawiło, że przedwcześnie uległa temu tragicznemu, a czasem tylko smutnemu, rozdwojeniu. U innych owo poczucie dwoistości przychodziło z wiekiem; u niej było znamieniem młodości. Prowadziła swój dorianogreyowaty żywot już wtedy, gdy jej pokolenie prezentowało jeszcze cholernie pewną siebie a jurną jedność. Jeden człowiek — jedna gęba. Koniec, kropka. Pamiętam oczywiście o Borowskim. On był Janem Chrzcicielem tego pokolenia. Był pierwszym, który przeżył do ostatniego piekielnego kręgu owo rozdarcie. I był zupełnie bezradny wobec siebie. Dlatego dalsza egzystencja między przeszłością a przyszłością stała się dla niego koszmarem. Przeciął ten koszmar.

U Róży brak krwawych plam w życiorysie oraz jej immanentna kobiecość złagodziły kontury dramatu. W końcu przeniosła z tamtej epoki tylko dziewczynę z warkoczami. A ta, choćby i z Grottgera rodem, innym piętnem była naznaczona niż na przykład chłopak, który nie zdążywszy dojrzeć, nieustannie stawał w obliczu spraw ostatecznych, w których tragizm organicznie wiązał się z plugastwem bytu. Więc chyba wstydziła się tej zaklętej w sobie (i w dawności) dziewczyny. A im bardziej jej „portret" oddalał się w smugę cienia, tym bardziej się wstydziła. Może dlatego tak namiętnie, rozpaczliwie starała się być dzisiejsza? Może dlatego przyrodzony artyście bezwstyd tłumiło, skądinąd szlachetne, marzenie, aby być mocną i konsekwentną? Może na kartezjańską modłę szkolny umysł nie mógł sobie poradzić z tym rozszczepieniem osobowości? Nie wiem. Wiem tylko, że gdzieś w okolicach tych wszystkich spraw leżała przyczyna jej długoletniego milczenia. Pragnęła być kimś jednym, obrysowanym, określonym; a nie kamieniem rozłupanym na szańcu historii. Charakterystyczne: właśnie w tym czasie lubiła kryć się za cudzą fabułę, uciekała w adaptacje.

Opowiem o pewnym wieczorze. Pisałem poprzednio, że przegadaliśmy sporo godzin — o wszystkim. To prawda. Lecz prawdą jest także, że nigdy nie zamieniliśmy dwóch nawet zdań o swoich życiorysach. Tych nieankietowych, oczywiście. Tylko tego wieczoru... Siedzieliśmy nad jakąś tam wspólną adaptacją i wykłócaliśmy się o dwie role. Tak się złożyło, że mężczyzna to był i kobieta. Dyskusja zaczęła się godnie, uczenie. Lecz rychło — może „Egri Bicaver" zawinił, może sztormowa pogoda — każdy zaczął mówić o jednej postaci. Sobie „przynależnionej". Zrobiło się dwuznacznie. I prawdziwie. Wtedy właśnie Róża wyznała nie wyznając. Wsłuchiwałem się urzeczony, ale i onieśmielony. Bo o sobie mówiła, mimo iż uparcie chroniła się za liściem figowym zaimka „ona". Była to przejmująca opowieść. Nie odważę się jej powtórzyć. Cóż, nic nam wtedy nie wyszło z tej roboty. Opowieści Różynej nie udałoby się, pracując na cztery ręce, wcisnąć w konstrukcję cudzego tekstu. Powiedziałem jej wówczas, że musi to napisać sama, niezależnie od wszystkich idiotycznych adaptacji, że ją bardzo proszę i różne takie tam głupstwa. Milczała. Gdy ją później wielokrotnie nagabywałem — uśmiechała się. I nic. Nie zdecydowała się zmienić „ona" na zaimek „ja".

Wiem, że to, co piszę, będzie czytane tylko jako uzupełnienie tomu zawierającego ostatnią, niedokończoną — ale przecież zaczętą — powieść Róży. Nie znam ani słowa z tego tekstu. W latach siedemdziesiątych już nie widywaliśmy się, a listy... Z człowiekiem można się porozumieć tylko patrząc twarzą w jego twarz. Obojeśmy w to wierzyli. Nie wiem, na ile ta powieść potwierdzi, a na ile zaprzeczy mojemu myśleniu o Róży. Niechby zaprzeczyła całkowicie i tak nie skreślę niczego. Bo jedynym usprawiedliwieniem tej niezbornej pisaniny jest fakt, że mówię prawdę. Czy o Róży z Piotrowiczów Ostrowskiej? Nie wiem. O Róży, jaka została we mnie — na pewno.

O Józefie Bruskim
z lat wczesnej młodości wspomnienie

Maria Orlikowska i Helena Chomianowa

Józef był ogromnie przywiązany do ziemi, podobnie jak nasza matka, o której mówiliśmy, że jest ulepiona z robaczkowskiego piasku, tak bardzo kochała ziemię i swój dom. W pracy na roli w gospodarstwie swych rodziców brał udział od wczesnej młodości. Jako gimnazjalista w czasie wakacji pomagał przy żniwach, przy sianokosach, najpierw na rozkaz ojca, potem z własnej chęci. Chlubił się tym, że kosił jako drugi za przodownikiem. Z pierwszych zetknięć z pracą na roli zrodziło się zainteresowanie rolnictwem, które pozostało mu na całe życie. Żywił skryte nadzieje, że kupi płacheć ziemi, na której będzie gospodarował. Dążył do tego i wtedy, gdy był lekarzem. Przeszkodził mu w tym brak zdrowia i opory ze strony najbliższej rodziny. Mimo to czytał ciągle czasopisma i książki rolnicze, nie pominął żadnej audycji radiowej czy wykładu telewizyjnego o tematyce rolniczej, stale śledził postęp w rolnictwie. Umiał rozmawiać na te tematy, znał się na tym lepiej niż niejeden rolnik. Kiedyś zwierzył się nam, że serce go boli zawsze, gdy pomyśli o tym, jakie stoją dziś perspektywy przed rolnictwem, jakie jest pole działania a on w tym nie może brać udziału.

Pisząc o zamiłowaniu Józefa do ziemi, nie sposób nie wspomnieć o przywiązaniu do domu rodzinnego, do Robaczkowa. Gdy w latach chłopięcych odjeżdżał do gimnazjum, zawsze płakał, na wakacje zaś wracał z ogromną radością. Natychmiast po powrocie biegł do obory, na pole, z wszystkimi się przywitać, od razu wszędzie było pełno Józefa.

Przywiązanie do domu pozostało mu do końca życia. Przyjeżdżał często i chętnie do Robaczkowa. Jak nie stało rodziców, to do rodzeństwa. Zawsze interesował się gospodarstwem i wypytywał o znajomych ludzi we wsi i z okolicy.

Robaczkowo wybudowało się w pobliżu wody i nie wiem, czy to było przyczyną, czy nadmierna żywość Józefa, dość, że w latach chłopięcych topił się sześć razy (sam to kiedyś kolejno wyliczył). A to w stawie, a to w pobliskich bagnach, a to na moczarowej łące, która wtedy jeszcze nie była zdrenowana, a nawet raz w studzience. Zawsze ktoś go wyciągnął i zawsze otrzymywał potem tęgie lanie twardą ręką ojca. Prawdopodobnie dzięki tylu przygodom wcześnie nauczył się pływać. Pływał doskonale i sztuki utrzymywania się na wodzie uczył chłopców z pobliskiej wsi. Kilkakrotnie ratował tonących. Raz, już jako gimnazjalista, wyciągnął tonącego w Wiśle; w tamtych czasach o tym się nie mówiło, nie nagradzało i rzecz zatonęła w niepamięci. W starszych klasach gimnazjum z pasją grał w piłkę nożną, w siatkówkę i koszykówkę. Na świadectwach szkolnych (przemilczmy oceny z innych przedmiotów) z w.f. zawsze otrzymywał ocenę bardzo dobrą. W czasie wakacji organizował mecze piłki nożnej między Wielem a bliską sercu Przytarnią. Drużyna z Przytarni była o wiele słabsza i Józef cudów dokonywał, by uratować jej honor, co mu się nie zawsze udawało.

O jego pasji myśliwskiej można by pisać tomy. Otaczał się psami myśliwskimi i na tym tle były w domu częste awantury, bo psy w zasadzie nie miały u nas wstępu do domu. Ale Józefa faworyci byli na specjalnych prawach i każdy, kto się temu sprzeciwił, był nieprzyjacielem. A zdarzało się też, że ulubieniec Józefa zjadł pieczoną kaczkę przeznaczoną na niedzielny obiad. Lubił psy, jakoś je rozumiał i bronił przed ludzkim złym spojrzeniem. Lubił też czytać książki o psach, nawet te przeznaczone dla dzieci. Pamiętam, że już w starszym wieku zachwycał się „Pucem, Bursztynem i Gośćmi" Grabowskiego i wyrażoną w tej książce trafnością obserwacji czworonogów.

Kim był dla mnie Józef jako starszy brat? Różnica wieku między nami wynosiła 6 lat – to niedużo. Wystarczająco dużo jednak, by w pierwszych latach dzieciństwa płakać na brata, który rozpruł brzuch lalce, by zobaczyć „co tam jest" (dwadzieścia lat później tłumaczył mi, że wtedy poczuł swe przeznaczenie: zostać chirurgiem...), by wysłuchiwać jego obraźliwych: „idź, poskarż Mamie!". Ta różnica wieku wystarczyła by w kilka lat później, gdy on miał lat 17, ja – 11, słuchać w zachwyceniu jego recytacji. W niedzielne popołudnia musiał nam powtarzać „Hymn o zachodzie słońca" i „Kulig" Słowackiego. Józef umiał mówić wiersze, lubił poezję a Słowacki był jego ukochanym poetą i o prymat poezji Słowackiego nad poezją Mickiewicza toczył zacięte boje ze swym starszym bratem. Innym razem w niedzielne popołudnie urządzaliśmy sobie potańcówkę. Józef – tancerz nad tancerze! – uczył nas mazura. Lubił tańczyć, śpiewać, lubił poezję, ko-

chał przyrodę, kochał ludzi, żył całą piersią. Jego bujna natura buntowała się przeciw konwenansom to też nieraz popadał w konflikty nawet z własną rodziną. Był na wskroś romantykiem. W jego polowaniach więcej było szukania kontaktu z przyrodą niźli chęci zabijania. Pamiętam takie lato, gdy noce spędzał w drewnianym szałasie nad stawem pilnując narybku. Matka troszczyła się o niego, znosiła poduszki, lękała się o jego zdrowie, a Józef – w bliskim kontakcie z przyrodą i w samotności, której w tym okresie potrzebował – czuł się znakomicie. A jak umiał naśladować głosy różnych ptaków i zwierząt, a jak o nich opowiadać! Wtedy już nie było między nami żadnej różnicy wieku.

Pytanie: jak zrodziło się u niego znane w późniejszym wieku zainteresowanie ludowością, czemu dał wyraz gromadząc i opowiadając swoje „godki"? Pierwszą jego nauczycielką była nasza matka, która znała i przekazała nam niejedną dykteryjkę z dawnych czasów. Józef lubił i umiał słuchać. A że chętnie z wszystkimi rozmawiał, przy tym był bystrym obserwatorem, łatwo wpadały mu do ucha różne przysłowia, opowieści, łatwo postrzegał różne obyczaje. Podpatrywał z przyjemnością sposób zachowania się ludzi prostych, zwłaszcza ludzi starych. Pamiętam, że w początkach, gdy był studentem a może jeszcze uczniem gimnazjum fascynowały go ludowe przepowiednie pogody, wierzenia, zwłaszcza zależność różnych poczynań człowieka od faz księżyca. Później zaczął „się uczyć" odczyniania uroków i zamawiania chorób od różnych ludzi – „specjalistów", których zaufanie umiał zdobyć. W ten sposób poznawał, zbierał, przyswajał sobie różne powiedzenia, opowieści, zwyczaje. Z każdym porozmawiał, z każdym we wsi był za pan brat, interesował się wszystkim co dotyczyło ludzi, to też poznawał ich rodzinne a nawet sekretne sprawy.

W tamtych czasach młodzież wiejska nie kształciła się tak powszechnie jak jest to obecnie. Nauka jednak miała swoją cenę i ludzie we wsi darzyli jakimiś szczególnymi względami kogoś, kto się uczył. Nieraz starsi nawet wdawali się w poważną rozmowę z młodym gimnazjalistą, bo to był już „uczony", „w szkołach" i młodemu chłopcu zwierzali swe troski. Jeszcze bardziej zacieśniła się jego więź ze wsią, gdy zaczął studiować medycynę. Już po pierwszym roku studiów, a po drugim nagminnie przychodzili do niego ze swoimi chorobami lub wzywali do chorych. Józef (który w międzyczasie odbył praktykę pielęgniarza u swego wuja dra Rogali w Gdyni) umiał pomagać ludziom. Stawiał bańki, leczył zapalenia płuc, grypy, nastawiał złamane kończyny, dawał rady na kobiece dolegliwości – nie pobierając żadnego wynagrodzenia. Zgłaszali się do niego przede wszystkim ci, których nie stać było na lekarza i nie było wypadku, by ich zawiódł. Bardzo poważnie podchodził do tych spraw i posiadał dużą intuicję. Wśród ludzi pozostało jak najlepsze wspomnienie o tym jego młodzieńczym leczeniu. Znamy np. mieszkankę Wiela, starszą osobę, która nieraz powtarzała, że dawno leżałaby w ziemi gdyby nie Józef. Było w nim jakieś współczucie dla cierpiących i wielka życzliwość. W tych właśnie wędrówkach do chorych poznawał psychikę prostego człowieka, człowieka wsi, nie skażonego miejską cywilizacją, tam napatrzył się życia i nasłuchał też opowieści, które potem nam odtwarzał. Były to więc gadki brane z realnego życia – na gorąco, nie fałszowane.

A skąd humor w jego opowieściach? Józef facecjonistą był zawsze. Gdy, jako 11-letni chłopiec jechał na swoje pierwsze wakacje do Robaczkowa, kazał się wieźć przez Przytarnię, choć to było nie po drodze. Ale tam przecież byli jego koledzy! W szkole właśnie była przerwa (bo wakacje w gimnazjum nie pokrywały się w czasie z wakacjami w szkole powszechnej). Józef wyskoczył z bryczki, skoczył na boisko i – zamiast powitania – wykrzyknął w wielkiej radości: „Knôpi, wiéta co nowégo? Bruściech Józef przejachôł!" Opowiadała mi o tym nieżyjąca już córka nauczyciela, pani Suchoświata, świadek tego spotkania. Gdy był uczniem 7 klasy gimnazjum w Chełmie, założył się ze swoimi kolegami, że wejdzie do Zakładu, w którym wychowywały się sieroty z kresów wschodnich pod opieką sióstr zakonnych. Słowo się rzekło, trzeba było dotrzymać. Parkan dla wysportowanego chłopca był niewielką przeszkodą, zaś wielkie brytany uciszyło się kawałkiem kiełbasy. I w ten sposób nasz Józef stanął okryty białym prześcieradłem w środku sypialni dziewcząt. Jaki tam powstał rwetes, jaki krzyk, jak przybiegły zakonnice, jak Józef wziął przeszkody i wyskoczył i znikł, że potem i dziewczęta i zakonnice myślały, że to był duch pokutujący – tylko on sam umiał opowiedzieć. A udział jego w takich okolicznościowych zwyczajach, jak dyngus, jak dziad – czyli dożynki? Biada dziewczętom na „dziada", gdy Józef był w domu, a był zawsze, bo zawsze pomagał przy żniwach i kończył je. On organizował z chłopcami lanie wody, on zaczajał się na schodach i w najbardziej nieoczekiwanej chwili i miejscu lały się strumienie wody. Wszyscy ociekali wodą a kuchnia pływała.

Józef wzbogacał życie gwarem, śmiechem, nie dziw więc, że jego gadki pełne są swoistego humoru.

Rozmawialiśmy przez wiele lat

Kazimierz Ostrowski

Na jednym z pierwszych zebrań Zrzeszenia Kaszubskiego w Chojnicach w 1957 r. żywo dyskutowalimy problem uaktywnienia społeczno-gospodarczego Gochów. Postulaty naszego oddziału pod adresem władz wojewódzkich i centralnych, których autorem w głównej mierze był sekretarz oddziału Józef Osowicki, uznawaliśmy za słuszne wszyscy. Marzyliśmy o stworzeniu w Lipnicy centrum tego podregionu, o urbanizacji tej wsi, o budowie szkół, placówek kulturalnych, zakładów rzemieślniczych i przemysłowych, o elektryfikacji, o budowie dróg i poprawie komunikacji – jednym słowem chodziło o zahamowanie migracji ludności do miast i stworzenie warunków harmonijnego rozwoju Gochów. Opracowywaliśmy memoriał w tej sprawie, który niestety nie znalazł żądnego odzewu. Być może dlatego, że domagaliśmy się od razu zbyt wiele, że nie bardzo liczyliśmy się z ówczesnymi możliwościami. Jak dalece mieliśmy jednak rację, wskazując na zapóźnienie Gochów w różnych dziedzinach, okazuje się do dnia dzisiejszego. Liczne przez nas wytknięte problemy doczekały się w ciągu minionych dwudziestu lat rozwiązania, pozostałe jeszcze na rozwiązanie oczekują, lecz są i takie sprawy, których realizacja niestety nie będzie możliwa.

Jednym z zabierających głos w tej kwestii był dr Józef Bruski, który niedługo potem związał się z Gochami na stałe, osiadając w Lipnicy. Mówił głosem przyciszonym, jakby umyślnie zmuszając słuchaczy do uwagi, nieco ochrypłym – a wiemy, że była to dolegliwość, która przerodziła się później w przewlekłą chorobę narządów głosu. Nie przypominam sobie dokładnie o czym mówił, mam tylko niejasne wspomnienie, że hamował zbyt zapalczywe i nierealne projekty.

W takich okolicznościach Go poznałem. Może się mylę, ale wydaje się, że od razu stworzyłem sobie portret tego niepowtarzalnego człowieka i to portret prawdziwy. Wszystko, co później do tego szkicowego obrazu dodawałem, jedynie rysowało mi Doktora wyraziściej, pełniej, bardziej zdecydowanymi kreskami, lecz nie mazało już raz rzuconego konturu.

Po zebraniu dr Bruski podszedł do mnie i zapytał, z jakichże to jestem Ostrowskich. Taki już był dociekliwy, jeśli chodzi o ludzi, z którymi się stykał, z którymi miał zamiar utrzymywać jakiekolwiek kontakty. Wyłuszczyłem więc w największym skrócie, acz grzecznie, swoją genealogię; okazało się, że moja linia nie jest Doktorowi znana, ale w krótkich słowach doszukaliśmy się wspólnych dobrych przyjaźni, a bodaj czy nie koligacji. Podobnych sytuacji przypominam sobie kilka, np. gdy na krótko pojawiła się w zasięgu naszych spraw pani o nazwisku Skwierawska, zapytywał mnie dr Brucki: z jakiej to rodziny Skwierawskich. Wnet okazało się, że teściów tej pani, a jeszcze lepiej ich rodziców znał od dawna. Znał bowiem bardzo wielu ludzi, przede wszystkim miejscowego pochodzenia lub zasiedziałych na ziemi chojnickiej. Lubił jednakże wiedzieć również o przybyszach, tych zwłaszcza, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia w lokalnych władzach. Nie poczytywałem mu tego za słabość, ani za niepotrzebną ciekawość. Rozumiałem, że po prostu szukał tej wiedzy, aby się nie mylić co do pokroju, przekonań i horyzontów tych ludzi, z którymi go los zetknął. Był w tym względzie ostrożny i czujny. Może pod wpływem doświadczeń?

Zwracał się do mnie (chyba już od następnych, rzadkich jeszcze w tym czasie spotkań) nie po nazwisku, lecz imieniem. Wymawiał je zaś tak, jak brzmi ono w gwarze naszych okolic: Kazmniérz. Rzecz była całkowicie usprawiedliwiona różnicą wieku i nigdy nie wydawało mi się to nienaturalne. W tym już zapewne zasługa nieomylnego wyczucia i nieodpartego czaru tego człowieka, iż szybko zjednywał sobie ludzi przytoczonym w porę dowcipem, umiejętnością dostosowania się do atmosfery chwili, czasem – jak w moim przypadku – jednym zwyczajnym zwrotem. Poczytywałem owo skaszubienie mojego imienia za pewien dowód sympatii dla mnie, którą byłem gotów odwzajemnić. Uważałem też, że była to szczególnego rodzaju poufałość, budząca między nami tylko istniejącą łączność. Niezliczoną ilość razy, podniósłszy słuchawkę telefonu, słyszałem wpierw charakterystycznie wypowiedziane swoje imię, pytająco zawieszone: Kazmniérz? Wiedziałem, Doktor chce mnie o coś zapytać, o coś drobnego może poprosić, czasem podzielić się jakąś wiadomością. To brzmiało po prostu jak hasło wywoławcze. Dobrze zapamiętałem timbre, i przycisk, i odgadywałem nastrój rozmówcy.

To ostatnie zresztą jest niezupełnie ścisłe, gdyż dr Bruski nigdy nie poddawał się nastrojom. Nie uzewnętrzniał spontanicznie swoich uczuć, po-

Zamieszczamy trzy zdjęcia, które wprawdzie nie łączą się bezpośrednio z publikowanymi wspomnieniami o d-rze Józefie Bruskim, ilustrują jednak jego aktywne uczestnictwo w społecznym ruchu regionalnym Kaszub i szeroko znaną gościnność domu Doktora z Lipnicy. Na pierwszym zdjęciu (wykonanym w latach sześćdziesiątych prawdopodobnie podczas jubileuszu pracy twórczej Jana Trepczyka w Wejherowie) widzimy (od lewej) Jana Rompskiego, Edmunda Kamińskiego (stoją) oraz Aleksandra Arendta, Józefa Bruskiego, Jana Trepczyka, Bernarda Szczęsnego, Mirona i Mirosławę Łukowicz. Zdjęcie drugie przedstawia grupę studentów Klubu „Pomorania", którzy w 1968 r., podobnie jak ich koledzy podczas tradycyjnych „wanóg" w latach poprzednich i następnych byli goszczeni serdecznie przez Jadwigę i Józefa Bruskich w Lipnicy. Obok pani Bruskiej, z lewej – Józef Borzyszkowski dziś już doktor historii, z prawej – Janina Ciechanowska obecnie już sędzina. Z lewej strony dra Bruskiego wychyla się mgr Halina Richter, wówczas współredaktor „Biuletynu Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego". Sztandar „Pomoranii" trzyma Wiesław Zieniewski, a najniżej (w ciemnych okularach) usadowił się Andrzej Szczepański – obecnie kierownik Biura Sekretariatu KW PZPR w Gdańsku. Fotografia trzecia upamiętnia pobyt w Lipnicy Krystyny i Edmunda Puzdrowskich oraz Renaty i Wojciecha Kiedrowskich; ten ostatni zdjęcie to wykonał podczas niezapomnianego spaceru z Józefem Bruskim nad jeziorem w Kiedrowicach w sierpniu 1969 r. (wj)

siadał bowiem dar ujarzmiania głębokich przeżyć, choć nie wynikało to jak u wielu ludzi z niedostatków temperamentu. Można było odczuwać, jak był niektórymi sprawami mocno poruszony, nigdy się tego nie dostrzegało z zachowania ani z tonu wypowiedzi. Przypominam sobie jak dzwonił, by znaleźć potwierdzenie, a być może zaprzeczenie, wiadomości o zgonie bliskich znajomych, współtowarzyszy pracy kulturalnej, przyjaciół. Pytał czy to prawda, co słyszał, że nie żyje Maksymilian Ichnowski, któregośmy nadzwyczaj cenili za przymioty intelektu i prawość charakteru. Gdy musiałem wieść potwierdzić, więcej w tej rozmowie było milczenia, niż słów. Dzwonił także, aby powiedzieć, że właśnie zakończył cykl wykładów o higienie zdrowotnej, które wygłosił w okolicznych wioskach – Borzyszkowach, Kiedrowicach, Zapceniu, Mielnie. Dzwonił zapytać, czy zamieściłbym artykuł o uprawie i obróbce lnu w Gochach bo właśnie o tym pisze. Chwy-

tał za słuchawkę, aby podzielić się wiadomością o reaktywowaniu koła Zrzeszenia Kaszubskiego w Lipnicy, o urządzeniu tamże kursu haftu kaszubskiego przez Elżbietę Wolikową, o wystawie w świetlicy. Był z tych przejawów życia organizacyjnego serdecznie rad, był zapewne ich motorem, a jednak na trwałe do ożywienia koła nie doprowadził. Wydaje się, że stracił serce do tej sprawy na skutek skłócenia środowiska, o czym wspominał w rozmowach. Nie mógł się przede wszystkim pogodzić z przejawami sobiepaństwa gromadzkiej, a potem gminnej władzy, nie podobały mu się stosunki wśród grona nauczycielskiego w miejscowej szkole, był rozczarowany nieudanymi próbami stworzenia programu pracy społeczno-kulturalnej. Miał co do tych spraw zupełną rację i wykazywał swe zatroskanie. Z rozczarowania trudno mu było się otrząsnąć, więc najpewniej dlatego zrezygnował z organizacyjnych działań w ostatnich latach.

W Chojnicach bywał często. Zebrania Zrzeszenia, póki odbywały się pod patronatem doświadczonych działaczy, mimo sporej odległości z Lipnicy uważał za obowiązkowe. Najczęściej zostawał w mieście do następnego dnia, toteż była okazja do pogawędki; wielokroć drugą część zebrania w ściślejszym gronie odbywaliśmy w kawiarni. Bywał także w sprawach służbowych, regularnie przyjeżdżał na próby zespołu „Chojny", któremu poświęcił niemało energii i który tylko dzięki niemu osiągnął w pierwszym okresie dobry poziom i sukcesy. Myślę tu nie o stronie muzycznej, lecz o wyrazistym kierunku artystycznym, bo to przecież stanowiło głównie o wartości tego zespołu; dobre grupy instrumentalno-wokalne tworzyły się jak grzyby po deszczu, ale rzadko która tak dobrze jak „Chojny" wiedziała czego chce. Z „Chojnami" był kilkakroć na ogólnopolskich przeglądach zespołów służby zdrowia (ze znakomitymi rezultatami), a także na Litwie i w Czechosłowacji. Wyjazd na Litwę uczynił na nim ogromne wrażenie. Opowiadał po powrocie przede wszystkim o spotkaniach z Polakami, o odkrywanych na każdym kroku niezatartych śladach kultury polskiej, o stanie drogich Polakom zabytków i pamiątek. Celem wyjazdu do Czechosłowacji było głównie spotkanie z tamtejszą Polonią w Ostrawie, Karwinie i pobliskich miejscowościach, z członkami i działaczami Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Wrócił stamtąd zbudowany prężnością organizacji polonijnej, mówił, że widocznie dopiero wśród obcych odczuwa się tak silną potrzebę wspólnoty. Jednocześnie wrócił z tej podróży oburzony postawą niektórych członków zespołu.

Przyjeżdżając do Chojnic przychodził do mnie, do redakcji, jeśli mu czas pozwalał. Chodziło zazwyczaj o rozmowę typu „co słychać", o osobisty kontakt, o chęć wypowiedzenia przed kimś swoich refleksji. Nierzadko omawialiśmy przy tej okazji sprawy Zrzeszenia, bądź w ogóle życia kulturalnego w mieście i regionie. Prowadziłem wówczas Oddział „Gazety Pomorskiej", co narzucało mi konieczność pracy systematycznej i szybkiej. Trzeba było wysłać codzienną sporą partię materiału. Doktor wiedział o tym, toteż nie przeciągaliśmy naszych debat i choć rad byłem z każdej wizyty, choć nakłaniałem gościa do przedłużenia dyskusji, nie ulegał. Rewizytowałem go i ja w Lipnicy, podejmowany serdecznie i z otwartymi ramionami. Nie mogę się dziś oprzeć wrażeniu, że przez cały czas kilkunastoletniej znajomości prowadziłem z Doktorem jeden, ciągle ten sam dyskurs nieustający, nieprzerwany. O sprawach błahych, ulotnych i o kwestii najgłębiej obchodzącej nas, zaprzedanych kaszubskiemu regionalizmowi. W wielu momentach tej dyskusji nie zgadzaliśmy się, zasadniczy pogląd mieliśmy identyczny. Zapewne wrażenie to nie jest moją wyłączną własnością, dr Bruski przyjaciół miał bowiem wielu.

I jeszcze jedno, co chciałem o Nim napisać. Bywały tygodnie, czasem miesiące przerwy w spotkaniach i rozmowach. Mimo to czułem niejako podświadomie obecność Doktora w odległej Lipnicy. Nie myśląc o tym, wiedziałem, że jest, trwa, że w każdej chwili może potwierdzić przyjaźń, której nigdy przecież nie ubieraliśmy w słowa. Oddziaływał poprzez sam fakt swego życia, jakby w sposób nadnaturalny pokonywał czas i przestrzeń.

Jedno z ostatnich naszych spotkań, jesienią 1974 roku, wywarło na mnie wrażenie przygnębiające. Przyszedł do redakcji, od razu tłumacząc, że chce coś załatwić. Zamieścić chciał nekrolog swej małżonki, która zmarła wskutek nieuleczalnej choroby. Tragizm sytuacji spotęgowało to zwłaszcza, że jako lekarz był wobec cierpień żony bezsilny i nie mógł odwlec śmierci. Mówił, że ułożyli się przedtem z żoną w sprawie miejsca spoczynku — ten obrać miał miejsce dla obojga, kto pierwszy zejdzie ze świata. Pogrzeb żony miał zatem odbyć się w Brusach, skąd pochodziła.

W pierwszych dniach grudnia 1974 roku dr Bruski był na zjeździe Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku. Pojechaliśmy wszyscy oddzielnie. Dr Bruski był obecny, choć nie był delegatem, dowodząc jeszcze raz jak głęboko przejmował się sprawami zrzeszonej społeczności kaszubskiej. Nie garnął się jednak tego dnia do rozmowy, nie przysiadł do przyjaciół i znajomych, jakby zadając fałsz opinii człowieka towarzyskiego i otwartego. Siedział na uboczu sam, milczący. Zamieniliśmy podczas przerwy tylko parę mało znaczących zdań.

Ostatnie spotkanie Józefa Bruskiego z rzeszą bliskich i znajomych odbyło się w dniu 18 grudnia 1974 roku w Brusach. Przybyliśmy na nie z różnych miast i wsi Pomorza. Zaskoczeni tą nagłą śmiercią, zdziwieni i jeszcze nie wierzący w nią. O ludziach, których potrzebujemy tak mocno, myślimy częstokroć w kategoriach nadludzkich — chcemy, aby byli zawsze i skłonni jesteśmy przypuszczać, że nie obowiązują ich te same dla wszystkich prawa. Nad otwartą mogiłą przemówił dyrektor ZOZ w Chojnicach lek. med. Augustyn Witkowski i Bolesław Machut z Kościerzyny. W spontanicznej mowie posła Machuta i w jego wzruszeniu większość obecnych złożyła własne myśli, własny żal. Doktor już nam nie odpowiedział. Rozmawialiśmy przez wiele lat, rozeszliśmy się w milczącej zadumie.

Spróbujmy raz jeszcze

Wojciech Jankie

Postać Aleksandra Majkowskiego została dobrze przypomniana społeczeństwu w roku setnej rocznicy jego urodzin. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie było inspiratorem i wykonawcą większości dokonań upamiętniających przywódcę Młodokaszubów. Wydano dwie książki autora „Żëcé i przigode Remusa" (kończąc jednocześnie wcześniej zapoczątkowaną edycję tej powieści). W Kartuzach postawiono udane popiersie, a w Kościerzynie i w Sopocie odsłonięto dwie tablice dokumentujące działanie Majkowskiego. Wybito medal, przygotowano interesującą wystawę obrazującą działanie artystyczne, społeczne i polityczne A. Majkowskiego, zorganizowano kilka „spotkań rocznicowych", specjalne plenum Zarządu Głównego ZK-P, konkursy recytatorskie. U nas, na Kaszubach, wszelkie te poczynania angażowały szerokie grono osób, oczywiście także spoza Zrzeszenia, również dlatego, że część społeczeństwa znała go osobiście. Pamięć o mestrze Majkowsczim jest wciąż żywa.

Jednocześnie możemy stwierdzić, że uroczystości związane ze „100-leciem" nie były nazbyt rozdmuchane. W cień nie poszły tematy i sprawy żywotne w naszym codziennym działaniu. Przykładowo, obrad literatów we Wdzydzach i publicystów we Władysławowie nie obarczono tematem rocznicowym. Zabrakło natomiast — co przed kilku laty wydawało się możliwe do zrealizowania — wzorcowego wydania „Remusa": ilustrowanego, na dobrym papierze, jednocześnie w oryginale i w przekładzie na język literacki. Nic zresztą straconego i taka książka powinna się ukazać. Nie otrzymaliśmy również jeszcze pełnej naukowej i dobrej popularnej biografii Majkowskiego. Pocieszą fakt, że pierwsza pozycja jest w poczynaniach autorskich mocno zaawansowana, a artykuły opublikowane — chociażby w „Pomeranii" — uznane zostały za wnoszące nowe spojrzenie na dzieło Majkowskiego.

A mimo to... A mimo to wiedza o Majkowskim w społeczeństwie polskim (a jest to w niemałym zakresie równoznaczne stwierdzenie: wiedza o Kaszubach) pozostała jednak koślawa. Szerzenie tej wiedzy jest zresztą koślawe, o czym świadczy artykuł Jerzego Krawczyka pt. „Kaszubski książę z ducha" zamieszczony w „Zielonym Sztandarze" (nr 94 z 21 XI 1976 r.). I nic nie pomoże, że autor pisze w dobrej intencji, zamieszcza szereg informacji i własnych interpretacji, które te intencje niweczą. Do artykułu powrócę; narzuca się jednak refleksja ogólniejsza: czy rzeczywiście (i dlaczego) tak trudno pisać poprawnie o sprawach kaszubskich, gdzie ma swój początek ta pokancerowana publicystyka o naszej historii, dniach niedawnych i dniu dzisiejszym? Bo chyba nie jest prawdą, że każdy temat jest przez dziennikarzy pokancerowany, ino — jako mniej często obeznani i zaangażowani — nie zauważamy tego, a raczej przechodzimy nad tym do porządku dziennego. W każdym razie my do publicystów krajowych zbytnio szczęścia nie mamy. Zauważmy, że prasa krajowa w ogóle, a najbardziej predysponowane w tym wypadku czasopisma kulturalno-literackie w szczególności, setną rocznicę urodzin największego pisarza Kaszub przemilczała. Jedynie „Tygodnik Powszechny" (nr 43) zamieścił artykuł, i to bardzo interesujący, pióra Kazimierza Doppke. Nie zmienia to jednak uwagi o publicystach, gdyż autor jest innej profesji i rodem z Kaszub.

Pozostawiając więc tę ogólniejszą kwestię do przemyślań, wracam do wypowiedzi Jerzego Krawczyka w „Zielonym Sztandarze". Są w niej błędy w stylu: Majkowski zakłada „Gazetę Gdańską"; dowiódł, że Greifswald to stara słowiańska Gryfia, a założyciel uniwerstytetu Warcisław był księciem Pomorza i Kaszub — i to podobno spowodowało jego usunięcie z

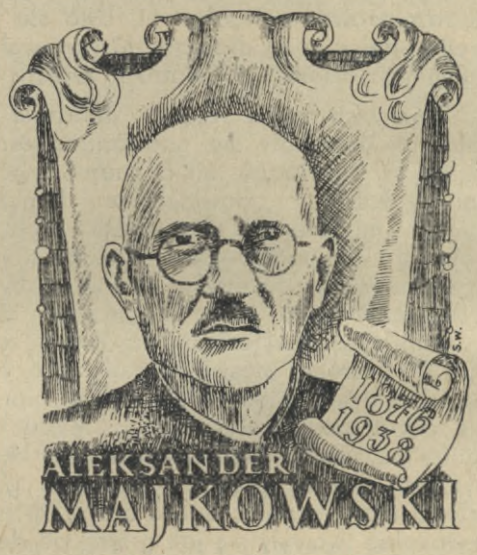

Rys. Wawrzyniec Samp.

uczelni. Są interpretacje w rodzaju: że Majkowski rozpoczął studia medyczne, gdyż gimnazjaliści chojniccy uznali, że to najlepszy zawód dla „budziciela ludu". Dodajmy, że w nieporadnym wprowadzeniu do właściwych rozważań o Majkowskim, autor artykułu przedstawił podstawowe wiadomości o historii narodzin regionalizmu kaszubskiego, z których niedwuznacznie wynika, iż Derdowski działał przed Ceynową (autor pisze Cejnowa). Podobno Derdowskiemu nie udało się zainteresować kaszubszczyzną Warszawy, więc wyemigrował do Kanady. Ceynowa natomiast (po wielu konfliktach, głównie z poznańskimi endekami) polegał tylko na swoich.

A Majkowski? Otóż tu pan Krawczyk wznosi się na szczyty „rozsądnego" kojarzenia... bicia dzwonów w różnych epokach. Czytamy „Ruch młodokaszubski miał powiązania z tzw. ruchem słowianofilskim, w znacznym stopniu sterowanym z Petersburga, w interesie carskiej Rosji. Majkowski bardzo szybko rozszyfrował tę grę i energicznie się jej sprzeciwił". No cóż, polemizować nie wypada. W każdym razie wydawało nam się, że Majkowski stworzył ruch młodokaszubski, był jego główną siłą napędową od zarania i niekwestionowanym przywódcą od początku. Jeżeli więc kapitalną bzdurę o petersburskim kierowaniu ruchem młodokaszubskim ktokolwiek w przyszłości będzie podnosił — niechże wpierw uderzy w Majkowskiego. To nic, że przywódca, ba, ruchu XX-wieku.

Cóż więc my mamy czynić? Będziemy próbowali dalej szerzyć wiedzę. W poczynaniach codziennych. A za rok, w czterdziestą rocznicę śmierci Aleksandra Majkowskiego złożymy mu znów skromne dowody hołdu. Należy mieć nadzieję, że dzieło jego życia zostanie właściwie docenione także poza Kaszubami.

15 lutego 1282 r. układem w Kępnie książę Pomorza Gdańskiego Mściwoj (Mestwin II) ustanowił, że po jego śmierci księstwo to przejmie we władanie, jako jego następca, Przemysł II, książę Wielkopolski i oba księstwa zjednoczy w całość. Akt ten znany w literaturze jako Zapis Mestwina, spowodował połączenie Pomorza Gdańskiego i Wielkopolski w 1294 r. i stał się podstawą odnowienia korony Królestwa Polskiego, po przerwie liczącej 216 lat, poprzez koronację Przemysła II, który przybrał tytuł króla Polski i księcia Pomorzan.

Raptularz z wyprawy do Kępna

Stanisław Pestka

PRZESŁANIE DO „PÓŹNYCH WNUKÓW"

Akt Kępiński spowodował określone skutki polityczne i przeobrażenia społeczne. Wiano pomorskie było czymś więcej niż ową przysłowiową perłą w koronie, myśl zjednoczeniowa zrodzona w Gdańsku i zrealizowana przez Mściwoja i Przemysła II stanowiła rodzaj przesłania skierowanego do współczesnych i do „późnych wnuków": interes partykularny należy podporządkowywać pryncypiom ogólnonarodowym. Był to zarazem przekonywujący dowód jakimi drogami należy dążyć do spełnienia wyższych celów i osiągnięcia wyższych wartości.

Patrząc na Układ w Kępnie z tego punktu widzenia, należałoby choć na moment oświetlić — średniowieczną scenerię i bohaterów odległego w czasie wydarzenia. Przybliżyć ich dzisiejszemu Polakowi. Historia i kultura to świat znaczeń. Włączając do tego świata jeszcze jeden ważny wątek, poszerzamy go o istotne treści.

Z dawien dawna utarła się praktyka, że niezawodnym sposobem przyswajania sobie wartości historycznych są rocznice i obchody jubileuszowe. Ważniejsze bodaj od samego jubileuszu jest to, co się dzieje przedtem i potem. W przeddzień rocznicy i później. Jeżeli idzie o rocznicę kępińską już zaczęło się coś dziać z inicjatywy Zrzeszenia. Propozycjom dotyczącym uhonorowania 700-letniej rocznicy Układu w Kępnie, dyskutowanym wśród członków ZK-P bardziej skonkretyzowaną formę nadano w Oddziale Gdańskim Zrzeszenia. Szkic programu działań rozłożonych na lata 1976—1982, który został przedstawiony czytelnikom w „Pomeranii" nr 5 z ub. roku, przewiduje m. in. publikacje o charakterze specjalistycznym i popularnonaukowym, podjęcie akcji oświatowych, stworzenie trwałych symboli, pobudzenie środowiska literackiego do zajęcia się tematyką pomorską, bądź to w ujęciu historycznym, bądź współczesnym.

Do społeczników należy przecieranie szlaków, zjednywanie jak najszerszego poparcia dla pionierskich przedsięwzięć. O całkowitym powodzeniu przedsięwzięcia decyduje „wspólna realizacja dzieła, które przekracza siły i możliwości jednej organizacji, i które powinno być wykonane połączonym wysiłkiem". Wysiłkiem historyków, archeologów, pisarzy, nauczycieli, młodzieży i działaczy społeczno-kulturalnych. Ponieważ sceną historycznego wydarzenia było wielkopolskie Kępno (dziś Kępno leży w woj. kaliskim), przeto jest zupełnie naturalne, że obchody jubileuszowe skoncentrują się w trzech województwach — kaliskim, poznańskim i gdańskim .

W STOLICY WOJEWÓDZTWA

Dlatego jesienią ubiegłego roku trzyosobowa ekipa reprezentująca Zarząd Główny ZK-P w Gdańsku w składzie Lech Bądkowski, Janusz Podgórski i Stanisław Pestka udała się do Kalisza i Kępna.

Kalisz jest najstarszym miastem Polski, co nie zawsze dostarcza powodów do radości. Wiele zabytkowych budowli, secesyjne kamieniczki wymagają natychmiastowego remontu. Już zresztą prace remontowe rozpoczęto, przy rynku kilkudziesięciu kamieniczkom odnowiono elewację. Miasto wojewódzkie musi szybko zatroszczyć się o dostosowanie swego oblicza do nowej funkcji.

Pokaźną porcję problemów dźwiga Wydział Kultury UW w Kaliszu. My dorzuciliśmy jeszcze jedno, co prawda niewielkie, brzemię. Ku naszej radości rocznica kępińska nie została w Kaliszu potraktowana jako ciężar. Przeciwnie z życzliwością i ze zrozumieniem odniesiono się do propozycji zreferowanych przez Lecha Bądkowskiego. Wywieźliśmy z Kalisza deklarację jak najdalej idącej pomocy w przygotowaniu obchodów rocznicy Zapisu.

O jakiego rodzaju pomoc chodziłoby? Na to pytanie mieli odpowiedzieć ojcowie i miłośnicy miasta Kępna. Dlatego też drugi dzień naszego pobytu na Ziemi Kaliskiej wypełniła wizyta w legendarnym dla nas Kępnie, w towarzystwie zacnego p. Lucjana Kłonicy z Wydziału Kultury.

Wcześniej obejrzeliśmy jeszcze kaliskie muzeum, którym zawiaduje mgr Janusz Janczewski. Jaką pozycję posiadają zbiory w ocenie fachowców? Chyba wysoką. Największe wrażenie na zwiedzających wywierają zapewne dwa działy: archeologia i tradycje narodowowyzwoleńcze na Ziemi Kaliskiej.

Najstarsze miasto na obszarze Lechitów zawdzięcza swoje powstanie prawdopodobnie jakiejś „faktorii" założonej przez kupców rzymskich na szlaku bursztynowym. Potwierdzeniem tego są ciekawe znaleziska z Piwonic. Czy owe zadziwiające bogactwa archeologiczne udałoby się powiększyć? Oczywiście, specjaliści od przetrząsania ziemi mają gotową odpowiedź: przebadać określone stanowiska poczynając od rzeki Prosny po Kruszwicę. Już rewelacją było znalezienie skarbu Słuszkowskiego, denarów palatyna Sieciecha, denarków krzyżowych, monet z czasów Jagiellońskich... W muzeum jest również płyta nagrobna, prawdopodobnie Mieszka Starego, zmarłego w 1202 roku. Pozostaje także w pamięci mozaika eksponatów mówiących o tradycjach narodowo-wyzwoleńczych. Ekspozycję rozpoczyna Powstanie Kościuszkowskie, potem rok 1806—1807. Nie zapomniano o głównych bohaterach dramatu historycznego — współtwórcach Legionów, Dąbrowskim i Wybickim. W dalszej kolejności: Powstanie Listopadowe, Rok 1848, Powstanie Styczniowe, Rewolucja 1905—1907, I wojna światowa i Powstanie Wielkopolskie. Na ruchu oporu i wyzwolenia Wielkopolski kończy się scenariusz wystawy.

Zapatrzenie w przeszłość? Do tego zapatrzenia zachęca sam prof. Tadeusz Kotarbiński. Przy głównym wejściu do sal ekspozycyjnych wykaligrafowano cytat z przemówienia autora „Wesołych smutków": „Ambitny miłośnik wszystkiego co polskie, normalny polski patriota pragnie pokazać światu na co umieli

się zdobyć przodkowie i utwierdzić w sobie i w innych wiarę w twórcze możliwości obecnego społeczeństwa, ostrzegając je zarazem mocą dziejowego doświadczenia przed zboczeniem na manowce".

W KĘPNIE

Kępińscy działacze czekali na delegację gdańską w domu kultury. Było ciepłe przyjęcie, kawa oraz żywa dyskusja. Najpierw, jak nakazywał protokół, przedstawiciele Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego kolejno referowali poszczególne działania, jakie podjęli w związku ze zbliżającą się wielką rocznicą. Szacunek budziło to, co do tej pory zrobiliśmy, nasz apel o ściślejsze współdziałanie dwóch ośrodków miejskich znalazł uznanie w oczach wszystkich uczestników spotkania.

Temu współdziałaniu próbowano utorować drogę ładnych kilka lat wcześniej. W roli pioniera miał wystąpić red. Tadeusz Bolduan z Gdańska. Nie tylko on sam. Niestety, nie przyjechał do Kępna na seminarium krajoznawcze poświęcone Układowi z 1282 r. Pan Konrad Nitrzke z miejscowego muzeum przedstawia nam broszurkę przygotowaną specjalnie na wspomniane seminarium, które odbyło się 15 września 1968 r. Aspekty prawno-polityczne Układu Kępińskiego omówił mgr Lech Kokociński, zaś dla T. Bolduana przewidziano temat: „Znaczenie Układu Kępińskiego w perspektywie politycznej dnia dzisiejszego".

Kępno może pochlubić się grodziskiem, które jest dziś przysłowiowym oczkiem w głowie gospodarzy miasta i Towarzystwa Miłośników Kępna. Godzi się z należną atencją wysłuchać głosu kronikarza: „To właśnie tutaj pod koniec 1281 r. przybył do grodu z orszakiem dostojników i pozostał w nim dłuższy czas Mściwoj (Mszczuj) II książę pomorski. Odbył on narady, przeplatane polowaniami z Przemysłem II i wielmożami wielkopolskimi. Można z tego wnioskować, że gród był obszerny, zasobny i zapewniał bezpieczeństwo zgromadzonej elicie dwóch księstw". Nic bardziej pilnego jak przekopać grodzisko, jest prawie pewne, że trafiłoby się na resztki obwałowań, fundamentów, może militaria... W każdym razie miłośnikom Kępna marzy się skansen archeologiczny na kopcu, otoczony odpowiednio zagospodarowanym parkiem i zapleczem rekreacyjnym. Skansen i park stanowiłby pamiątkę po obchodach Zapisu Mestwina.

Trzeba w tym Kępnu pomóc. Pierwszy krok w tym kierunku już uczyniono. W latach sześćdziesiątych nie opodal grodziska został wmurowany spory obelisk. Napis na marmurowej tablicy głosi, że tu w 1282 r. Mściwoj II przekazał Przemysłowi II ogół swych praw zwierzchnich.

Mieszkańcy miasta postarali się o to, by pamięć o ich księciu wzbogaciła współczesną symbolikę. Nowa dzielnica Kępna nosi nazwę Osiedle Przemysła II. W muzeum wisi kopia obrazu konkursowego z 1935 r. Malarz uwiecznił na płótnie doniosły moment zawierania układu. Obydwaj książęta — młody i stary — z dłońmi wspartymi na mieczach trwają w zasłuchaniu, chłoną słowa, które czyta dostojnik kościelny. Na dalszym planie gród, a raczej zamek wpuszczony w bryłę szklanej góry. Jest to obraz trochę udziwniony.

Zupełnie inny obraz tamtej epoki znajdą czytelnicy w monografii Kępna, drukowanej obecnie w PWN.

Jak najwięcej konkretnych inicjatyw związanych z kępińską rocznicą. Był to główny motyw wszystkich rozmów, jakie delegacja Zrzeszenia odbyła w Kępnie. O rozmachu rocznicowych poczynań decydować będzie również włączanie się do obchodów środowiska naukowego Poznania. Owa pomoc mogłaby się ograniczyć do przygotowania uroczystości centralnych. Życzeniem działaczy kępińskich jest, ażeby odbyły się one w Kępnie. W nowym domu kultury, tak potrzebnym dziewięciotysięcznemu miastu.

Nie było to zapewne ostatnie spotkanie obydwóch komitetów obchodów Zapisu Mściwoja, kępińskiego i gdańskiego. Teraz niech oni do nas przyjadą. Przyjmiemy ich ciepło i serdecznie.

O „Czôrlińscim" bardzo osobiście

Kazimierz Ostrowski

„Czôrlińsciego" zna każdy, kto żyje w kręgu pomorskiej kultury, a także bardzo wielu, którzy o sprawach tego regionu mają zgoła mgliste pojęcie. „Czôrlińsciego" zna bowiem nie tylko ten, kto prześledził, z książką w ręku, przygody szlachcica z Chmielna w podróży do Pucka i kto umie opowiedzieć fabułę tego utworu. Poemat Derdowskiego należy do tej uprzywilejowanej kategorii dzieł, które przenikają do kultury społeczeństw w sposób samoczynny i naturalny. Stają się własnością ogółu i wyciskają ślad niezatarty. Są cząstką wspaniałego gmachu kultury i cokolwiek wzwyż i wszerz przyrasta, ma w nich oparcie.

Gdyby zapytać wprost o znajomość twórczości Derdowskiego wśród Kaszubów i zadowolić się odpowiedzią, wynik byłby zapewne źródłem niewesołej refleksji. Ale przecież byłby to wynik nieprawdziwy, bo równocześnie każdy z zapytanych zna dwa, trzy, kilkanaście porzekadeł, wierszy, anegdot, myśli, które pochodzą z poematu o Czôrlińscim. Począwszy od:

„Nie ma Kaszub bez Polonii,
A bez Kaszub Polsci!"

oraz

„Nigdë do zgubë
Nie przyńdą Kaszubë!",

które widujemy na pięknie haftowanych sztandarach, na domowych makatkach i na „Pamiątkach z Jastarni". Poprzez całą gamę znakomitych, celnych powiedzeń rozmaitej tonacji, które przepłynęły z kart książki do użytkowego słownika kaszubskiej frazeologii, a których się nawet nie podejrzewa o tak wysoki rodowód. Są w tym bogactwie również takie, o których już nie można z całą pewnością powiedzieć, czy pierwej były w żywej mowie ludu i stąd przejął je Derdowski, czy też na odwrót, jak choćby przygana braciszka Leona, iż Czôrlińsci „Modli sę pod figurą, a diôbła mô pod skórą!" Poeta bowiem tak znał ludzi, o których i dla których pisał, tak bardzo był jednym

z nich, że odwzajemnienie znajomości stało się procesem najprostszych z prostych. Poemat sprzed bez mała stu lat znają więc i ci, którzy recytują z pamięci długie fragmenty i ci, którzy ledwo zapamiętali jego tytuł.

* * *

„Czôrlińsci" jest otoczony legendą, podobnie jak obrosła w legendę biografia poety, w którego fantazji zrodził się podróżujący po Kaszubach szlachcic. Legenda Derdowskiego i jego niezrównanego poematu zrosła się w jedno i trudno byłoby rozdzielać elementy tego mitu. Naukowe, pedantyczne doszukiwanie się prawdy w tym splocie tchnie sztucznością. Prawdą jest bowiem przede wszystkim atmosfera towarzysząca percepcji tego eposu, a wyrosła w znacznej mierze w oparciu o nimb niezwykłości autora. Nie pierwszy to raz w dziejach literatury życie pisarza staje się nierozerwalnie częścią jego dzieła, a niemal z reguły spotyka to wielkich humorystów, najwybitniejszych kpiarzy, twórców o naturze szczególnie uwrażliwionej na niedoskonałości rodzaju ludzkiego i porządku rzeczy. Moglibyśmy w tym miejscu posłużyć się nazwiskami twórców Don Kichota, Kandyda, Guliwera, Pickwicka i innych, których życiorysy tak szczelnie oplotła anegdota, owa tajemnicza mgła ludzi nieprzeciętnych. I zauważmy, jakże często w losach tych kpiarzy więcej jest pierwiastków tragedii niż łaskawości życia, wydarzeń bardziej godnych współczucia niż śmiechu.

Nie inaczej z Derdowskim, którego wiódł niespokojny duch — jak często mówimy. Wędrówka poprzez pięć kolejnych gimnazjów, spowodowana nieskrywanym buntem młodego człowieka przeciw nauczycielom — germanizatorom, ma wyraz o wiele bardziej dramatyczny niż sowizdrzalski. Pierwsza, w czasach uczniowskich przedsięwzięta podróż zagraniczna, której uwieńczenie godne jest odbicia w najwspanialszej literaturze, także zrodziła się z tragicznych rozterek. Podobnie późniejsze podróże po Kaszubach, po kraju, po Europie w poszukiwaniu pracy i chleba przede wszystkim, które przyczyniły się do ugruntowania mitu o Derdowskim — wagabundzie, człowieku niefrasobliwym, wiecznie skorym do peregrynacji i donkiszoterii.

Tak, jak życie poety rzutowało na legendę poematu, tak i odwrotnie, rozgłos „Czôrlińsciego" dodawał nowe elementy do bujnej biografii, jak choćby znany proces o obrazę bytowskiego burmistrza. Na początku zaskoczyła i zachwyciła nowość: kaszubszczyzna, mowa ludu, nobilitowana do rangi języka literackiego — to było oryginalne i niespotykane. Florian Ceynowa niefortunnie rozpoczął od publicystyki, Derdowski wybrał inny rodzaj wypowiedzi i trafił znakomicie. Poemat epicki o nieskomplikowanej fabule, zawierający w miarę realistyczny obraz Kaszub, pełen humoru sytuacyjnego i łatwej do odczytania satyry, to był właśnie utwór literacki, do którego odbioru ogół czytelników był przygotowany. Zaś język był dodatkowym walorem tego dzieła, jak się miało okazać — najwartościowszym i najtrwalszym. Był więc „Czôrlińsci" progiem całej kaszubskiej literatury i twórczości regionalnej w literaturze polskiej w ogóle.

Rybak z Chmielna, opisany gładkim polskim językiem i wypowiadający się w nim, choć w rzeczywistości znał dobrze tylko swoją rodzinną gwarę, taki Czôrlińsci były nie do przyjęcia; do bohatera tego poematu zdecydowanie przystaje tylko kaszubszczyzna. Byli oczywiście również przeciwnicy, zarzucający Derdowskiemu, że wystawia Kaszubów i ich mowę na pośmiewisko, że nie przystoi literaturze, aby posługiwała się językiem nienobilitowanym itd. Ci nic nie zrozumieli z myśl Derdowskiego i z dzieła, które dostali do ręki. Ogromna większość czytała bowiem właśnie dlatego, że odnajdywała w poemacie własny świat; w miarę smutny i śmieszny, codzienny i niezwykły, realny i urojony, lecz nie wykraczający poza zasięg ludowych pojęć i doświadczeń, a więc znajomy i bliski. Bliski również dzięki językowi znanemu od kolebki. Ci, którzy krytykowali, czynili to wskutek większego zaskoczenia nowością. Również oni przyczyniali się do wytworzenia wokół dzieła legendy, która ma udział w trwałości sukcesu. W każdym pokoleniu czytelników dochodziły nowe oczekiwania, które „Czôrlińsci" w znacznym stopniu zaspokajał. A skoro tak, to już jedynie zasługa wielkiego talentu pierwszego kaszubskiego poety. Talent jest jądrem legendy poematu i twórcy.

* * *

Ile jest w „Czôrlińscim" postromantyzmu, a ile zaczerpnął poeta z późniejszych prądów, niech rozsądzają historycy literatury. Kwestia na pewno interesująca, lecz my zwróćmy uwagę na jeden tylko nurt, tak charakterystyczny dla polskiego romantyzmu, który w poemacie Derdowskiego obecny jest od pierwszych do ostatnich wierszy, od dedykacji Józwowi Ignacemu Kraszewskiemu, do sławetnego dwuwiersza o bytowskim burmistrzu. Patriotycznej żarliwości jest w tym utworze tyle, że starczyłoby na kilka innych niepoślednich dzieł naszej literatury. Tyle jest wierszy aluzyjnych, tyle sytuacji i scen o antypruskim zabarwieniu, tyle wreszcie deklaracji wprost, iż zadziwia tolerancyjny stosunek bismarckowskich władz do tego dzieła i jego autora. Widocznie zaborcy nie czytali uważnie kaszubskiego utworu, lecz czytali go ludzie, którym „marsz kaszubski" stał się hymnem, katedra oliwska miejscem uświęconym, a los Kabatków tragiczną przestrogą. Ostateczny i najbardziej dobitny wyraz kaszubskiego patriotyzmu dał poeta w lapidarnym stwierdzeniu: „Mniemcë, choć klë mają ostre, nigdë nôs nie zjedzą". To było głębokie przeświadczenie poety, które chciał upowszechnić wśród współziomków.

Obok wielkich, ogólnoludzkich idei romantycznych, obok takich pierwiastków jak ludowość, legendarność, niezwykłość, mistyka — patriotyzm był cechą w polskim romantyzmie najistotniejszą. W twórczości Derdowskiego, który pisał później o pół wieku, ten narodowy wydźwięk jest tak silny, iż nieodparcie się z romantyzmem kojarzy. Jest późnym refleksem romantyzmu, nie zaś epigońskim naśladownictwem. Przenosi jego dziedzictwo na nowy grunt kaszubskiej literatury i tworzy wartości niepowtarzalne.

* * *

Współczesny Derdowskiemu warszawski recenzent pisał: „Książeczka ta, pisana dla ludu, ma rzeczywiście doniosłą wartość. Każdy wieśniak odczyta ją niezawodnie z zajęciem i znajdzie tam prawdziwy swój obraz z takim dowcipem odmalowany. Inteligentny człowiek oceni tu prawdę, z jaką autor odzwierciedla życie ludu" (W. Czajewski, „Kaszubi. Słów kilka o ich życiu i poezji", Warszawa 1883, odb. z „Tygodnika Mód i Powieści").

Nie spierajmy się o to, czy książeczka pisana była dla ludu, czy nie dla ludu (w ówczesnym rozumieniu tego słowa). Czas dowiódł, że pisana była dla wszystkich, czego najlepszym świadectwem utrzymująca się przez wiek cały popularność. „Czôrlińsci" jest i dziś najpopularniejszym utworem literatury kaszubskiej na Pomorzu i najbardziej znanym dziełem kaszubskim w literaturze polskiej. Poemat Derdowskiego czytają ludzie o różnym stopniu wykształcenia, niezależnie od przynależności do grup i warstw społecznych. Jedną intencję poety odgadł wszakże ten sam recenzent bezbłędnie: „Więcej takich książeczek, a istność biednych, wyzyskiwanych Kaszubów stanie się zabezpieczoną".

Skąd dziś taka popularność dzieła? Co odnajdujemy w poemacie, że nie wydaje się nam przebrzmiały? Sprawy czytelniczych upodobań do końca wyjaśnić się nie da, zwłaszcza iż krytyka i popularność często chodzą różnymi drogami (przecież „Czôrlińsci" też nie jest wolny od licznych niedoskonałości!). Wartościowe i najbardziej ważkie dzieła literackie wychodzą z czytelniczego obiegu, stają się li tylko pozycjami w dziejach literatury, a inne przeciwnie — zdobywają wciąż nowych czytelników. Kto dziś czytuje Mikołaja Reja, a jakże niewielu Jana Kochanowskiego nawet, zaś Chryzostoma Paska miłośników krąg rośnie. Tak też z Derdowskim — pozostaje wciąż żywy, bo stworzył żywych bohaterów. Rybak z Chmielna ze

swoimi gospodarskimi troskami, ze swoimi przywarami skąpstwa, mściwości, zadufania drobnego szlachetki, wiary w urojone moce nieziemskie, a także z licznymi zaletami, jest sportretowany wyraziście i przekonująco, jest sympatyczny. Basia, jego małżonka, także nie jest papierowa.

Poznajemy u Derdowskiego światek kaszubski, którego już nie ma. Ale to właśnie chcemy poznać. Ta odchodząca epoka nas ciekawi i chcemy wiedzieć o niej jak najwięcej. Nikt nam więcej o tamtym okresie nie powie, niż żywi bohaterowie Derdowskiego. Prawda, że w krzywym satyrycznym zwierciadle, prawda, że rubasznie i w stylu niedzisiejszym, lecz od pierwszych słów wprowadzeni w klimat utworu, czujemy się w konwencji narzuconej przez autora doskonale.

Cóż poza tym jest w „Côrlińscim"? Bardzo dużo. I rozległa panorama Kaszub i folklor i inne wartości. Tych jednak, w bogatszym jeszcze wyborze, poszukać możemy w późniejszej literaturze regionu. U Derdowskiego pyszna jest przede wszystkim jędrność i malowniczość postaci, giętkość i siła języka, wyrazistość sytuacji, dzięki czemu wszystko w poemacie żyje i przemawia do naszej wyobraźni.

* * *

Poemat Hieronima Derdowskiego „O panu Côrlińscim co do Pucka po sece jachôł" był jedną z nielicznych książek, które ocalały po zawierusze wojennej z ojcowskiej biblioteki. Wydanie z 1934 roku, oprawne w marmurkowy papier z płóciennym grzbietem. Było tych książek, pamiątek po ojcu i bracie, tak niewiele, że mogliśmy niemal z pamięci wyliczyć ich tytuły. Wśród nich „Côrlińsci", owiany opinią pięknej, „wesołej" książki kaszubskiej. Brnąłem wówczas przez elementarz, do książek z górnej półki było mi jeszcze za wysoko. A potem „Côrlińsci" znikł. Ktoś pożyczył, nie oddał... Habent sua fata libelli. Czasem wspominało się w domu tę książkę, pisaną potoczystym wierszem, gwarą z rodzinnych okolic mych rodziców.

Aż znów po kilku latach przeżyłem spotkanie z bohaterem kaszubskiej epopei. Niespodziewane i tym bardziej pamiętne. Podczas wakacyjnej wycieczki rowerowej po Kaszubach opiekun grupy chłopców, Antoni Pepliński, człowiek światły i serdeczny, pięknie recytował „Côrlińsciego" i Majkowskiego „Jak w Koscerznie koscelnego obrele". O rybaku z Chmielna mówił nam słowami Derdowskiego przy ognisku nad jeziorem w Chmielnie. Nie wiem, ilu uczestników wycieczki utrwaliło sobie nastrój tego jedynego wieczoru, dla mnie pozostał wydarzeniem dużej miary. O wiele później dowiedziałem się, że znawca twórczości kaszubskich poetów sam ma piękny poetycki dorobek.

Pojawiło się nowe wydanie poematu w 1960 roku, książka znów stanęła na półce i można było po nią sięgać do woli. Właściwie wtedy dopiero po raz pierwszy przeczytałem poemat w całości, choć przedtem mnóstwo godzin nad innymi pismami Igôrza z Wiela strawiłem w bibliotekach. Wydawało mi się, że najsłynniejszy ów poemat znam, a była to prawda i nieprawda. Potem wielekroć słyszałem obszerne fragmenty dzieła w żarliwej recytacji druha Edmunda Konkolewskiego z Wiela, rodzinnej wsi poety. Słuchałem zawsze rad, każdorazowo wraz z całym audytorium doznając wzruszeń. Liczni słuchacze pytali o książkę. Bez skutku, bez nadziei.

* * *

I oto ukazała się, dzięki niestrudzonym edytorom — społecznikom z Oddziału Gdańskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Wydanie V, oparte na wydaniu IV (pierwszym powojennym) Wydawnictwa Morskiego, wykonane metodą fotooffsetową. W skromnej szacie, na lichym papierze, lecz najważniejsze, że jest. W nakładzie 4 tys. egz., największym z dotychczasowych. Wiele rąk sięgnie po nią z lubością, wielu ludzi od nowa lub zgoła po raz pierwszy prześledzi losy dzielnego szlachcica.

Nie wiem co skłoniło wydawców do pominięcia wstępu Leona Roppla, umieszczonego w IV wydaniu. Lektura tego szkicu bez wątpienia wyjaśniała niejedno, zwłaszcza czytelnikom słabiej wprowadzonym w kaszubszczyznę i literaturę naszego regionu. Nie wiem zaiste również, dlaczego nie ma przed poematem przesłania do J. I. Kraszewskiego, tradycyjnie łączonego z „Côrlińscim". Może są racje jakieś istotne, lecz żal pozostaje.

Skąd pochodził Côrliński

Edward Breza

Pytanie postawione w tytule może być aktualne w związku ze wznowieniem epopei „O Panu Côrlińscim co do Pucka po sece jachôł" (szkoda że nie z pierwodruku) H. Derdowskiego. Podejmuję też zagadnienie dlatego, że w swoich poszukiwaniach i badaniach przydomków szlachty pomorskiej spotkałem odnośną sugestię u T. Żychlińskiego (o czym niżej).

W sensie literackim bowiem problem zasugerowany w tytule jest pytaniem retorycznym. Znajdziemy przecież na niego odpowiedź w samym utworze: *Mô przezwisko Jón Côrlińsci, stónu szlachecciégo.*

A pochodzy ze wsë Chmielna, kréjsu kartusciégo. Ma więc pochodzić z Chmielna. Jest to oczywiście fikcja literacka autora. De facto w Chmielnie nie notuje ani M. Bär[1] Czarlińskich, ani nie spotkałem ich w metrykaliach tej parafii[2], ani nie zanotowaliśmy ze studentami tego nazwiska na nagrobkach cmentarnych z r. 1975, kiedy w Chmielnie odbywaliśmy swój obóz naukowy.

Sięgnijmy więc do etymologii nazwiska. Zauważmy najpierw, że nazwy własne w utworach literatury kaszubskiej są z reguły autentyczne, nie wymyślone, przez co literatura ta zbliżona jest najbardziej do twórczości ludowej. Takim autentycznym nazwiskiem jest też Côrlińsci. Bez trudu powiedzieć można, że *Czarliński* to nazwisko odmiejscowe z formatem *-ski*. W Polsce mamy jedynie *Czarlin* w Tczewskiem i *Czarlinę* nad jez. Wdzydze. Ta ostatnia wieś jest osadą królewską notowaną późno, bo dopiero w XVII w. i to jako pustkowie. Z niej nie pochodzą Czarlińscy. Ta zasłużona rodzina pomorska wywodzi swoje nazwisko od *Czarlina* w Tczewskiem. Ta ich

pierwotna własność zapisywana jest od XIII w. jako *Tszadelin* r. 1260 i *Czedlin* r. 1437, później w XVI w. *Schedlin*. W moim przekonaniu są to niemieckie fonetyczne warianty nazwy polskiej *Czarlin*. Spółgłoska *-d-* jest tu wtrącona, a nagłosowe *cz* lub *sz* zachodzi także w innych nazwach pomorskich, porównaj np. dawne *Słuchowo*, niem. *Schlochau* i współczesne *Człuchów*. Nie wykluczone jednak, że nazwa wsi brzmiała pierwotnie Sadlno[3].

Niemiecka postać nazwy wsi Czarlin — *Schedlin* stała się przydomkiem Czarlińskich, którzy pisali się *Schedlin-Czarliński*. Żeby uprawdopodobnić pochodzenie przydomka *Schedlin* od nazwy wsi, przypomnę, że takich przydomków mamy więcej, np. *Rautenberg-Kliński* od niem. nazwy wsi Radziejowa pod Zblewem w Starogardzkiem i że prof. K. Górski[4] stawiał hipotezę, iż przydomki szlachty pomorskiej pochodzą od nazw miejscowości, są pierwotnymi nazwami miejscowości. (Hipotezy tej utrzymać się nie da w świetle materiałów, jakimi rozporządzam).

Wspomniany T. Żychliński[5] wymienia pierwszych przedstawicieli rodziny Czarlińskich: Minutę *de Czedelin* vel *Schedlin z r. 1352*, Baltazara i Krzysztofa z r. 1452, N. *de Schedlin Czarlińską* z r. 1487. Z innych źródeł wiemy (dokładną lokalizację zapisów znajdzie czytelnik w mojej pracy o przydomkach szlacheckich), że r. 1570 występuje Nobilis ‚szlachcic' Andreas *a Schedlin* w Żelistrzewie (Puckie) i w Łostowicach (Gdańskie), Paulus *a Schedlin* w Lubieszynie (Kościerskie), Cristof ‚Krzysztof' *v. Schedlin* pod Gdańskiem. Z pracy Bära (op. cit. w przypisie 1) wiemy, że *Schedlin-Czarlińscy* byli w XVIII bądź XIX w. w Bietowie (Starogardzkie), St. i N. Bukowcu (Kościerskie), Niesiołowicach (Kartuskie), Pawłowie (Gdańskie), Radziejowie i Rokoszynie (Starogardzkie), Tuchlinie, Węsiorach i Cieszeniu, Kobysewie i Tokarach oraz Warznie (Kartuskie), Dobrzewinie (Wejherowskie), Czarlinie i Turzy W. (Tczewskie). Była to więc rodzina mająca włości na Kociewiu i na Kaszubach. Żychliński wylicza przedstawicieli rodziny z poszczególnych pokoleń na Czarlinie, Bukowcu i Chwarznie (te 2 ostatnie miejscowości w Kościerskiem, dlatego też w księgach kościelnych St. Kiszewy występują *Schedlin-Czarlińscy)*.

Właśnie o przedstawicielu XI pokolenia z linii na Chwarznie, tj. o Felicjanie Czarlińskim pisze: „O nim to istnieje wiersz kaszubskiego poety ludowego Derdowskiego pt. „O panu Czorlińscim, co do Pucka po sece jachoł". (Informacja w t. XXI i XXII). Skąd autor miał tę wiadomość. — Prawdopodobnie od Czarlińskich. Żychliński bowiem omawiał historię rodzin na zamówienie samych rodzin i często na podstawie nadesłanych sobie materiałów. W t. XXII zaznacza, że materiały takie przekazał mu o Czarlińskich dr Bender (bliżej mi nie znany), który na życzenie Czarlińskich opracowywał genealogię ich rodziny. Ze szkiców biograficznych H. Derdowskiego[6] nic nie wiemy o związkach Derdowskiego z Czarlińskimi. Wiadomo jednak, że wspomniany Felicjan Czarliński i jego żona Emilia Rokicka mieli 6 synów i 2 córki. Dwaj najstarsi synowie, tj. Emil i Leon przysłużyli się bardzo sprawie polskiej na Pomorzu, byli szermierzami polskości w pruskim parlamencie. Z nimi mógł utrzymywać kontakty Derdowski. Nawiasowo wspomnę, że obu braci uczczono w Kościerskiem, nadając Szkole Podstawowej w Lubaniu imię Braci Czarlińskich. Kilka informacji o nich podał też prof. A. Bukowski[7].

Następni synowie Felicjana Czarlińskiego to (informuję za Żychlińskim, a więc stan z r. 1900) Eugeniusz, dr medycyny, zamieszkały w Bydgoszczy; Feliks, bezżenny mieszkał z matką w Bydgoszczy; Maksymilian, oficer pozasłużbowy w gwardii pruskiej, zmarły przedwcześnie w r. 1898 w Poznaniu i Wiktor, inżynier cywilny, ożeniony z Belgijką. Córki to Melania, zmarła jako zakonnica u sercanek i Waleria, wdowa po Rudolfie Czarlińskim z Bielaw.

Na cześć Feliksa, syna Felicjana Czarlińskiego, napisał H. Derdowski utwór pt. „Oracyjo pożegnalno dlo Pana Feliksa Czorlińściego na banciecie wieczornym u Mazura w Toruniu w wiliją Zwodzyjosza w roku Pańścim 1884", wydany po raz pierwszy (nie licząc kilku egzemplarzy z drukarni Buszczyńskiego, którymi obdarzono uczestników bankietu) w Gryfie II 1910, s. 346—347, po raz drugi przez J. Łęgowskiego w Mestwinie (nr 13 z r. 1930) i po raz trzeci w całości (w poprzednich dwóch wydaniach wykropkowano fragmenty „prywatne", E. Puzdrowski nazywa je „nieobyczajnymi") w r. 1975 przez Towarzystwo Bibliofilów im. J. Lelewela w Toruniu w nakładzie 200 egzemplarzy z posłowiem E. Puzdrowskiego. Autorowi posłowia nie udało się rozstrzygnąć zagadnienia, czy Derdowski należał do grona bywalców piwiarni toruńskich, w których prym wodził Feliks Czarliński, z zawodu urzędnik Banku Kredytowego Donimirski, Kalkstein, Łyskowski i Ska w Toruniu, czy też okolicznościowy panegiryk został zamówiony na uroczystość pożegnalną u Derdowskiego przez I. Danielewskiego.

Samo autorstwo „Oracyji" świadczy jednak o pewnych kontaktach Derdowskiego z Czarlińskimi. W tekście samej „Oracyji" mamy wyraźne nawiązanie do poematu „O panu Czorlińscim...", czytamy tam bowiem:

Ale Pąn Bóg Cy weboczy kawalerscie grzeche,
A tam doma cę czekają inne gwes poceche!
Tam mądrosce jak i cnote będzesz pierszym wzorem,
A oliwścim ciej nie zechcesz bec kalkulatorem,
To burmistrzem Cebie zrobią, jako Twego przodka,
Co w Betowie mądrze rządzeł, jak powiodo godka.

Por. do tego słowa poematu:
Ale zawdë ciéj w Oliwie będze gdze przëpôdciem,
Chce bëc [Czorliński] *jako kalkulator przë dymaniu*
prządciem

i dalej:
Cźôrlińsciemu sę potemu pomnieszało w głowie,
A téj Mniemcë go zrobiëlë burmistrzem w Bëtowie
(s. 144, 153).

Owym przodkiem Feliksa to właśnie ojciec, Felicjan Czarliński, o którym zdaniem Żychlińskiego rzecz w samym poemacie „O panu Czorlińscim...".

I jeszcze jedna informacja, tym razem od Janowicza (J. Karnowskiego). Publikując mianowicie w Gryfie II, 1910, s. 364 fragmenty prywatnych listów Derdowskiego, podaje, powołując się na prywatną wiadomość od pewnej osoby (oznaczonej kryptonimem X. F.), że Czarlińscy wytoczyli Derdowskiemu proces za satyryczną i ośmieszającą rodzinę epopeję, który skończył się skazaniem autora na dłuższą karę więzienną, którą Derdowski odsiedział w Toruniu. Zaznacza jednak, że wiadomość tę trzeba by sprawdzić. Czy sprawdzono ją dotychczas, pozostawiam przyszłemu biografowi Derdowskiego. Oświetlenia też wymaga informacja Żychlińskiego, że w bohaterze Derdowskiego trzeba widzieć Felicjana Czarlińskiego.

---

1) M. Bär, Der Adel und der adlige Grundbesitz in Polnisch-Preussen zur Zeit der preussischen Besitzergreifung, Leipzig 1911.

2) Por. księgę chrztów z lat 1825—1859, jaka znajduje się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Gdańsku w zespole akt kościołów katolickich Pomorza Gdańskiego, sygn. 1254 III.

3) Taką sugestię wysuwa B. Kreja, Ze studiów nad toponomastyką Kociewia, Rocznik Gdański XXVIII, 1969. W „Pamiętniku p. Macieja Czygenberk Orłowskiego o własnej rodzinie i rodach powinowatych (1604—1606). Wydał W. Kętrzyński b.r. i m. wyd. s. 18 tenże Maciej pisze ciągle Czadlińscy, wspomina też akta tczewskie z r. 1536, w których występuje Czadliński Krzysztof Holszteiner de Sadlino. Formą Czadlińscy albo Sadlińscy w odniesieniu do omawianej rodziny posługuje się też L. Polaczek, Spis rodzin szlachty polskiej, z. 1—3, Kraków 1893 — 94, s. 107.

4) K. Górski, Pomorze w dobie wojny trzynastoletniej, Poznań 1932, s. 265.

5) T. Żychliński, Złota księga szlachty polskiej, t. XXI, s. 119, t. XXII, s. 5—14, Poznań 1899—1900.

6) A. Bukowski, Regionalizm kaszubski, Poznań 1950, s. 45—66; L. Roppel, wstęp do wyd. IV O panu Czôrlińscim, co do Pucka po séce jachôł, Gdynia 1960, Kossobudzki, Gryf, 1910 nr 1.

7) A. Bukowski, Wspomnienia o zasłużonych ludziach ziemi kościerskiej, Jantarowe Szlaki VII, 1964.

Wojenna droga

Jerzy Rawa-Gawrych

Od 1. IX 1935—1937 r. byłem zaangażowany jako prefekt w Kazimierzu Biskupim pow. Konin, gdzie wykładałem przez 2 lata religię, łacinę i historię powszechną. Od 1937 roku byłem w Górce Klasztornej, a potem u ks. dziekana Grzędy w Gleśnie pow. Wyrzysk. Powyżsi, wraz z 22 księżmi proboszczami, zostali wymordowani w Paterku k/Nakła dnia 9. XI. 1939 r. O wydarzeniach tych napisałem tzw. „Szkice historyczne", które ukazały się w języku niemieckim, a wydane zostały w Holandii w roku 1951/52 w postaci książki. Od 1938 r. (marzec) do września 1939 r. byłem w Wielkim Klinczu, gdzie zadaniem naszym było wybudowanie (a raczej przebudowanie z koszar) gimnazjum dla młodzieży z Pomorza.

Urządziliśmy dwukrotnie wentę na potrzeby gimnazjum, z której dochód był bardzo wielki. Ostatnia wenta odbyła się 15. VIII. 1939 r., gdy pachniało już wojną.

W nocy z dnia 31. VIII. na 1. IX. 1939 r., byliśmy u naczelnika stacji Kleinschmita na dworcu, gdzie słuchaliśmy radia. W nocy wysadzono most kolejowy na trasie Kościerzyna — Skarszewy. Z rana zauważyłem powykręcane szyny na linii Gdynia — Herby Nowe na Śląsku. Z rana o godz. 4.45 słyszeliśmy huk i wybuchy pochodzące z Chojnic, a my zabawialiśmy się klejeniem okien i kopaniem rowów przeciwczołgowych. Można powtórzyć słowa: „o sancta simpicitas" — „o święta prostoto"... Tymczasem szpieg trąbił po wiosce: „Uciekajta, hitlerowcy nadchodzą, są już w Kościerzynie".

W pierwszych dniach wojny, jak i w dniach poprzedzających ją, kawaleria ukrywała konie i sprzęt wojenny w naszym parku. Dowodzącym był gen. Grzmot-Skotnicki. Gdy opuszczali niepewne schronienie gen. Skotnickiemu tak drżały ręce, że okazałem się pomocny i zapakowałem z ordynansem walizkę. Śmieszne okazały się okna oklejone gumowymi taśmikami, pierwszy podmuch bomby wybijał szyby. Z naiwnością wyglądaliśmy pomocy samolotów angielskich i francuskich. Wypowiedzenie wojny przez Anglię i Francję podniosło na duchu brać kaszubską i pomorską.

Pierwszym przeżyciem były wykopki ziemniaków na majątku Sobącz pow. Kościerzyna, oddalonym o 7 km od Wielkiego Klincza. Powitał nas — ksiądz rektora Józefa Kuchtę, ks. Jerzego Gawrycha, kleryka Władysława Lisieckiego i brata Muzolfa - Niemiec słowami: „Jetzt machen Sie ichre Gottesdiest praktisch", co znaczy po polsku: „Teraz chciejcie waszą służbę Bożą wykonywać praktycznie". Była to ciężka praktyka: o głodzie i chłodzie, od wschodu słońca do zachodu. Pewnego razu po południu odwiedziło nas na polu SS i kreisleiter Modrow. Przyjrzał się nam, czarno i dobrze ubranym i uderzył kolegę ks. Kuchtę w twarz wciskając okulary w oczodoły. Uderzony, krwawiący i na wpół oślepły musiał nadal kopać ziemniaki. W tym czasie wyrabowano nam w Wielkim Klinczu wszystkie zapasy, cały inwentarz żywy i martwy. Na pytanie kto nam wyrówna szkody dano nam świstki papieru z „Szlachthausu" z Kościerzyny i powiadomiono drwiąco, że marszałek Śmigły Rydz zapłaci („Der Marszal Śmigli Ridz wird bezahlen"). Były to oczywiście kpiny.

Widząc co się święci, staraliśmy się aby nas po paru tygodniach zwolniono. Udałem się sam do Niemca i w imieniu kolegów powiedziałem, iż sądzimy że spełniliśmy obowiązek tzn. „Arbeitsdienst". Rozwścieczony odpowiedział: „Was denkst du, du bist nur studiert?" co znaczy: „Co ty sobie łobuzie myślisz, sądzisz, że tylko ty jesteś kształcony?". Trzeba było wiać, bo mogłoby się skończyć źle...

Udaliśmy się z klerykiem Władysławem Wysieckim do kościerskiego pastora, aby otrzymać jakieś zaświadczenie. Ten jednak, pełen strachu nie wpuścił nas. Rozmawiał z nami przez zamknięte drzwi. Ostatecznie stwierdził, że nie może nam pomóc. W naiwności poszliśmy na gestapo. Widząc nasze obłocone kolana i zarośnięte twarze pytali się nas tam: Co wy Lümels — luje, dziady — właściwie chcecie? Poszliśmy jeszcze do landrata (starosty), ale i tam nic nie wskóraliśmy. Myśleliśmy, że jest jakaś praworządność, ale już jej nie było. Nie poszliśmy więcej do Sobącza, czuliśmy, że to się może źle skończyć. Rozpoczęliśmy rolę uciekinierów, kierując się przez Starą Kiszewę do Osieka.

Parę tygodni przed wybuchem wojny przesłał nam ks. Biskup Okoniewski (umarł w Lizbonie, na wygnaniu 3. V. 1942 r.) tajne i poufne pismo informujące jak zachować się na wypadek wojny. Okazało się, że te wskazania nie mogły być realizowane w praktyce, gdyż wypadki lokalne dla każdego księdza były swoiste i inne. Ostrzegł nas jednak proboszcz, który uciekł z pogranicza Niemiec, że hitlerowcy nie żartują z klerem. Byliśmy zapraszani przez okolicznych gospodarzy. Wracając z obiadu od p. Wichertów zostaliśmy na wzgórzu otoczeni przez niemieckich żołdaków. Pierwszy, zziajany, tak zwrócił się do mnie: „Von wo komst du (Ihr)? Mensch du bist der richtige auf dich haben wir schon lange gewartet, du warst bei den Hurrer", co znaczy „Ty luju łobuzie, ty jesteś tym prawdziwym na którego już dawno czekaliśmy..."

W salonie, gdzie 2 tygodnie temu przyjmowaliśmy starostę i ks. dr dziekana i proboszcza Kościerzyny Ruchniewicza, musieliśmy klęczeć pod wymierzonymi w naszą stronę karabinami. Pytano mnie: „Warst du bei dem Müller"? Co znaczy: „Byłeś u młynarza?". Odpowiedziałem — cały czas myśląc o nazwisku Müller, a nie o młynarzu Wałdochu — że nie. Niemiec uznał moje zeznanie za podejrzane i to przesądziło sprawę. Załadowano nas na wóz gumowy i zawieziono do Kościerzyny. Przy wsiadaniu zwrócił się do mnie i powiedział: „Du polnische swina".

Po drodze zaczepiło nas gestapo, pytając się eskortujących dokąd nas wiozą. Odpowiedzieli, że przed sąd wojskowy za uprawianie szpiegostwa. Gestapowcy odpowiedzieli: „Niderknallen dei polnische Bande", co znaczy: „Rostrzelać tę polską bandę".

Wjeżdżając ul. Dworcową do Kościerzyny zobaczyliśmy pędzonego chodnikiem dr. Ruchniewicza, proboszcza kościerskiego. W biegu pozdrowił nas ręką i my uczyniliśmy to samo jako znak pożegnania. Ks. dziekan Ruchniewicz zginął w Lesie Szpęgawskim.

Stanęliśmy w hotelu „Pomorskim". Żegnaliśmy się już z tym światem, gdy wprost cudem obroniła nas matka kleryka Władysława Wysieckiego. Przedarła się przez wartę i wpadła do hotelu wołając: „Was meinen einzigen Sohn wollen sie totschisen", co znacz: „Co, chcecie zabić mego jedynego syna?".

Mówią, że strach ma długie nogi. To nie prawda. Tak przy aresztowaniu, jak i przed sądem miałem nogi jak kłody. Wskutek bardzo dużego podniecenia nerwy odmówiły posłuszeństwa, czynności fizjologiczne uległy zakłóceniu. Czułem, że pęcherz gotów pęknąć, a mięśnie nie rozkurczały się. Można było umrzeć wskutek nie oddania moczu. Ten sam strach i wielkie oszołomienie towarzyszyło nam, gdy opuściliśmy hotel, siedzibę sądu wojennego i znaleźliśmy się na ulicy. Nie wiedzieliśmy gdzie idziemy. Tłum ludzi szedł za nami. Przy urzędzie pocztowym oprzytomnieliśmy i poszliśmy, chcąc uniknąć tego zgromadzenia ludzi, do drogerii pana Mokwy. Tam pani Mokwa podała nam mocną kawę i „Mahandel mit Knüpel". Doszliśmy do równowagi ciała i duszy.

3 października 1939 r. Józef Wałdoch — młynarz z W. Klincza — przewiózł mnie wozem poprzez knieje i Jeziora Wdzydzkie do Wiela. Tam rozpoczął się okres 5-letniego ukrywania się. Matka powitała mnie słowami: Wracasz uboższy aniżeli 20 lat temu, gdy wyprawiałam cię do szkół. Zdarzały się pewne epizody dramatyczne pomniejsze, które pomijam. Wiedząc o tym, że ks. Główczewskiego zabrano od państwa Langów z Dąbrowy, już od 10. IV. 1940 r. ukrywałem się u państwa Narlochów na wybudowaniu. Dnia 3. VI. 1940 r. zajechało po mnie gestapo. Szczęście, że rodziców nie było w Wielu, byli bowiem u moich sióstr w Karsinie. Gestapo kazało się stawić rodzicom albo mnie. Ponieważ matka nie chciała puścić ojca a ojciec matkę, stanęło na tym, że nie poszli do Wiela i to być może uratowało ich przed śmiercią.

Pożegnałem rodzinę Narlochów; ukrywałem się u Jankowskich i Czapiewskich, a w końcu u państwa Śledziów w Białym Błocie koło Ossowa. Prowadziła mnie przez ścieżki, nocą, p. Śledzianka — nauczycielka. Ukrywał się tam już ks. Szulc.

Po kilku dniach przyjechała po mnie Jadwiga Liberżanka, która przewiozła mnie do Czerska, a następnie do swoich rodziców w Osiu pow. Swiecie. Ukrywałem się na drugim piętrze z Jankiem Liberą, u jego brata Alfonsa. Mieliśmy schowki w ścianach mieszkania. Po odkryciu tychże mogliśmy uciekać na strych, gdzie był zamaskowany schowek pełen butelek, za którymi można było się ukryć.

Mieszkaliśmy vis a vis Jagdkomando, tzn. batalionu leśnego, który zwalczał polskich partyzantów. Obserwowaliśmy nieraz z ukrycia, jak uzupełniali swoje straty po powrocie z obławy. Były jednak i wypadki, gdy wyrzucano na rynek zabitych partyzantów, szczególnie w latach 1943—44 i tak już do marca 1945 r. włącznie. Były to makabryczne widoki. Sam z partyzantami spotkałem się u Józefa Kuzimskiego w Brzezinach na wybudowaniu, kiedy musiałem nieraz opuszczać kryjówkę w Osiu.

Dnia 20. IV. 1975 r. ukazał się w „Dzienniku Wieczornym" artykuł pt. „Odra na strychu po 30-tu latach". Okazuje się, że przy remoncie domu znaleziono w Osiu klisze, które przed 30-tu laty wykonał Jan Libera. Jest tam mowa o tajnej konspiracji, o Niemcach, którzy dali się we znaki Polakom, o prowodyrach miejscowych Niemców, którzy zostali ujawnieni i ostrzeżeni, że jak nie zaprzestaną znęcać się nad Polakami to czeka ich smutny koniec. To poskutkowało; najgorsi zgłosili się szybko do wojska niemieckiego.

Oswobodzenie Osia przez Armię Radziecką było też dramtyczne. W tych ostatnich dniach ukrywałem się w organistówce. Rosjanie zastosowali tzw. „Organy Stalina" czyli „katiusze". Niemcy zmuszeni zostali do ucieczki. Wybuch i podmuch bomb wyrzucił mnie do piwnicy na ziemniaki. Jedna ze starszych kobiet śpiewała i wykrzykiwała przerażająco. Trudno było przekonać kobiety, aby wyszły z piwnicy. Zrobiłem pierwsze kroki, a za mną poszły i owe niewiasty, wdrapując się krętymi schodami na podwórze. Osie płonęło niczym Rzym za Nerona. Słupy telegraficzne obalone, co metr bombowy lej, śnieg był czarny jak gdyby rozlano smołę.

Wpadłem znów do piwnicy w rynku, gdzie ukrywałem się i okazało się, że w tych schronach piwnicznych było już 60 kobiet i 4 mężczyzn. Pierwszymi, którzy nas odwiedzili byli oficerowie sztabu radzieckiego, którzy zrobili bardzo dobre wrażenie. Powiedzieli nam, że jesteśmy wolni. Zwracając się do mnie rzekli: „Swieszczennik — widocznie ktoś im powiedział kim jestem — otwieraj kościoły".

Regularne otrzymywanie „POMERANII" zapewni najlepiej prenumerata roczna w wysokości 100 zł.
Wpłaty należy dokonać na konto Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
PKO GDAŃSK 19510-5890-132.

Wspomnienia

Dzieciństwo (8)

Anna Łajming

W dniu 27 stycznia, w rocznicę urodzin cesarza Wilhelma II, w szkole była wielka uroczystość, na którą zazwyczaj zjawiała się pani v. Wittersheim. Teraz doszła nadleśniczowa pani Andersch. Trzeba było śpiewać i deklamować wiersze. Polskie dzieci wstydziły się mówić wiersze na cześć zaborcy. Jeszcze wieś Lendy, położona bliżej szkoły, była bardziej lojalna, lecz schowana w lesie wieś Wysoka Zaborska była wroga i jej mieszkańcy głośno szydzili z Niemców. Do deklamowania wierszy nauczyciel prócz Glasów wybrał i mnie. Wszystko w tym dniu wypadło dobrze. Lecz na zakończenie uroczystości otrzymałam z rąk nauczyciela jako nagrodę biały rulon. Jak tylko wyszliśmy poza szkołę z ciekawości rozwinęłam go i zawstydziłam się okropnie. Był to obraz następcy tronu. Zaczęłam uciekać w stronę domu, a dzieci z Wysokiej wyśmiewając się, goniły za mną. Bałam się jeszcze szyderstwa w domu. Wiedziałam co mama zrobiła z Bismarckiem, więc wbiegłam schodami wprost na strych, zgniotłam rulon i wcisnęłam go w kąt.

W domu były inne kłopoty. Ponieważ uderzył mróz i ziarno w kłosach stwardniało, trzeba było prędko młócić je cepami, a o najemnika było trudno. Młodzi ludzie byli na wojnie, albo się ukrywali. Lendowscy z Lendów przysłali nam na czas młócki swego rosyjskiego niewolnika. W zamian za to prosili o pomoc w jesiennych wykopkach. Młócono więc w czwórkę: Hering, Herman, ciocia i Nikifor. Mama podała obiad, w czasie którego Nikifor opowiadał ojcu o rosyjskich potrawach i dziwił się bardzo, że nikt tu nie browarzy samogonki że nie podobają mu się Niemcy, którzy przy jednym kieliszku przesiedzić potrafią cały dzień, w czasie którego Rosjanie zdążyliby wypić kilka flach, potłuc lampy i lustra.

Ojciec zawołał: — Mamulko, mosz te tam zdziebło kornusu?

Mama przyniosła z pokoju jakąś butelczynę i Nikiforowi nalała wódki. Ten wypił, poweselał i już po obiedzie przy młóceniu zrobił się dużo żwawszy. W domu znowu słychać było uderzenia czterech cepów i śpiewającego w niebogłosy Rosjanina. Nagle usłyszeliśmy, że jedno uderzenie wyszło tępo, cepy umilkły a zrobił się krzyk. Najgłośniej ryczał Herman. Mama wybiegła z domu do stodoły, ale Hering już prowadził Hermana pod rękę i krzyczał:

— Ten waju Rusek nie je wort szosu! Taczi je dzeczi, że Hermanowi cepem w łosenę chlapnoł. Tec on nie umie draszowac.

Rosjanin bardzo się zmartwił. Więc trzeba było jednak młócić w trójkę, bo Herman chodził z żółto-zielonym sińcem na czole.

W pewną niedzielę zajrzał do nas Teodorek G. ze wsi Kaszuby, były kandydat na księdza, zwolniony z braku zdrowia ze szkoły. Kręcił się po wsiach, pomagał, pouczał i godził zwaśnionych. Ojciec akurat siedział na ławie i czytał na głos „Żywota Świętych". Teodorek to bardzo pochwalał, ale ojciec zaczął mu zadawać różne podstępne pytania, że on obrażony wyszedł. Wtedy ojciec ponownie zatopił się w czytaniu. Ale już po chwili zjawił się lekko uśmiechnięty Hering. Miał coś do opowiedzenia, mianowicie o Frycu Majerze z Parzyna, który niegdyś sympatyzował z Idą. Wtenczas ojciec Majera ostro zabronił Frycowi pobrać się z chorowitą dziewczyną i ze złości połamał na nim motowidło. Heringowie wraz z Idą bardzo to przeżywali. Teraz Hering usiadł obok ojca, paznokciem postukiwał o tabakierkę i mówił uśmiechając się drwiąco:

— Rozumiesz, Jonku, że dzys ryno Fryc Mejer mioł miec szlub z tako Mycą z Somin, a w noce niespodzewanie muszoł lesc na wojnę i tego ryna se nie doczekoł. Jesz mój szwadzier, Klopka, go wczora wieczór spytoł: — Te, brace, nie idzesz na noc do brutczi? A on mu na to odrzekł: Po co jo mom dzys krasc to, co mnie jutro podarują? I tego jutra se nie doczekoł. Teru on je dalij niż bleżyj. He, he. — Ponieważ ojciec nie oderwał wzroku od książki, Hering śmiejąc się, uderzył go w ramię.

Ojciec pogrążony w lekturze nie słyszał sąsiada i choć aż się zachwiał odrzekł tylko z powątpiewaniem:

— To jednak będze nom cężko przyndz do tego nieba, Alberce, chocbe me se nie wiem jak nacyskali. Gdze nom tu do tech swiętych co są w niebie?

Protestant zmieszany zerknął na księgę w ręku ojca, machnął ręką i wyszedł. Ojciec głośno czytał dalej.

Przyszła wiosna. Jeszcze brzozy były nagie i długie ich rózgi kołysał zimny wiatr. Hering, wiecznie łakomy na robotę, lasował już w pudle wapno, aby wybielić mieszkanie. Potem przyleciały jaskółki i bociany, a skowronki już dawno śpiewały w polu.

Ja i Janek spragnieni byliśmy jakiejś zabawy, ale na dworzu było zimno. Opowiadaliśmy sobie bajki, które do czytania dał nam nauczyciel. Kuchenny zegar tykał i ja sięgnęłam po jego szyszki i naciągnęłam go. Wtedy zmyśliłam na prędce i opowiedziałam Jankowi, że mama obiecała mi dać ten zegar, gdyby ten ze ściany spadł — co może się zdarzyć. Janek chciwie wytrzeszczał oczy i zawołał:

— Jo weznę te lincuche!

— A jo ten biegas — powiedziałam.

W tej chwili zajrzała do nas Agata, miała interes do mamy. Dlatego weszła do pokoju, gdzie była mama i rzekła do niej możliwie słodkim głosem:

— Tak ja jo cebie, Marynko, lubię i kocham... — Twarz jej drżała i nagle zapytała innym głosem. — Ale powiedz naprzodek, że te mnię nie odmówisz?

— Jo nie wiem, co? — odezwała się mama zaintrygowana.

Agata posmutniała, ale mówi dalej: — Wiesz, że u cedzych ledzy mieszkom a muszę detczi zbierac na pogrzeb... — Nabrała oddechu i wykrztusiła: — To co mom, handlowac se chcę z tobą na złoto, Maryneczko. Te i tak do banku zawleczesz.

— Złoto mnie w banku notują i złoto mnie oddadzą. Ale czemu te muszysz miec złoto na pogrzeb?

Agata żąchnęła się. — Po co? A niech, nie dej Boże, spoli se pustkowie, co tede? A papieru ani zakopac ani nic! Jo.

— Nie zakopuj detków, a dej je lepij do banku. Będzesz miała procenta — radziła mama.

— I-i-i-j! — zapiszczała Agata. — Jo jem za ostróżno. Tym grubym plapom w tech bankach jo se

w Brusach przezdrzoła i im nie wierzę. Jo mom nos! A na twoją dobroc jo wiedno rachowałam i wiem, że te bes ni miała sumienia mnie odmówic.

Mama wstała i otworzyła w stole szufladę. Postawiła się tak, aby Agata nie dostrzegła zawartości pudełka od cygar. Jednak Agata podeszła do stołu także. Zaczęło się targowanie. Jak się zakończyła ta wymiana, nie pamiętam.

Już na drugi dzień mama wybrała się do banków w Chojnicach i Brusach. Za otrzymane procenty wybrać chciała w „Consumie" w Brusach towar. Wróciła późnym wieczorem niezadowolona z zakupów, bo nie było towaru. Dla mnie tylko kupiła kapelusz na lato bo chodzić miałam na naukę religii aż do Leśna, a rocznej Konegundzie buciki uszyte ze szmaty i podeszwą z linoleum. Schowała je do skrzynki do czasu, aż pójdzie z dzieckim do szczepienia ospy. Mama była zmęczona i siadając na ławie opowiadała nam, że w lesie na krzyżówce ukazał się jej chłop. Stał jak słup i nie ruszył się; pokutuje tam już od wielu lat. Dlatego przybiegła do domu cała zlana potem.

Nazajutrz w niedzielę mama z tatą poszli do kościoła a ja w domu oglądałam nowy kapelusz. Potem ze skrzyni wygrzebałam nowe buciki i przymierzyłam Kunegundzie, z którą chciałam pobawić się jak z lalką. W nowych bucikach postawiłam dziecko na podłogę, ale zanim zamknęłam skrzynię mała Kunegunda już stała w kałuży. Czym prędzej zdjęłam jej mokre buciki i pończoszki, które suszyłam przy piecu. Ciocia akurat gotowała obiad, zmartwiona postawiła buciki na gorącej płycie i podeszwy z linoleum sfałdowały się i zwężyły. Ja byłam przerażona lecz ciocia machnęła ręką i schowała je do skrzyni.

Na drugi dzień widziałam, jak ojciec pod płotem sadził jakieś drzewko. Szpadlem kopał jamę akurat tam, gdzie kiedyś pogrzebałam guz z jego liberii. Hering z ciekawości wyszedł popatrzeć, a kiedy dowiedział się, że to nie jest drzewko owocowe a zwykła osika, zdziwił się bardzo. Ojciec tłumaczył mu:

— Taczi drzewo z człowieczem rozmowio, wiedno cos szepoce... A nawet wie co człowiek mesli... — Hering machnął ręką i odszedł.

W końcu kwietnia nadeszła Wielkanoc. Pączkowały wiśnie, jabłonie oraz brzozy. W brzozach wałęsały się jakieś bezdomne koty. Nie było już słowiczych gniazdek pod jałowcami i większa część ptaków wyniosła się do lasu. Wieczorami tylko z daleka odezwał się jakiś słowik. Tej wiosny dwa razy w tygodniu chodzić zaczęłam na naukę religii do odległego o 7 kilometrów Leśna; obowiązkowo też na mszę św. na godz. 7-mą. Po mszy była pauza, potem lekcja śpiewu pieśni kościelnych. Po drugiej pauzie była nauka religii, która trwała do godz. 12.30. Pamiętam, że często byłam zmęczona. W tym czasie rozwydrzyłam się mocno. To psu i kotu nalałam pokarm do jednej miski, żeby się pogryźli, to zamknęłam ciocię na strychu, że nie mogła wyjść. A kiedy mama robiła generalne porządki i zdjęła kuchenny zegar, aby go obmyć z kurzu, niezauważona zabrałam odjęte wahadło i pobiegłam z nim do stawu gdzie bawił się Janek, oznajmiając, że zegar już spadł. On wpadł do kuchni jak szalony i chwycił za łańcuchy z ciężarkami, które leżały na skrzyni i natychmiast dostał mokrą ścierką po głowie. Choć taka byłam niemożliwa, nauczyciel przesadził mnie z III oddziału do V-go. Z tego wcale nie byłam zadowolona, bo rozdzielono mnie z dobrą koleżanką, a starsze dziewczynki patrzyły na mnie nieprzyjaźnie. W domu opowiadałam to mamie, ale ona nie słuchała mnie, zamyślona szyła jakieś koszulki na maszynie. Przyjrzałam się maminym drobnym dłoniom i spojrzałam na swoje. Były większe. Jakże się ucieszyłam. Otworzyły się drzwi i wszedł Hering. Chciał porozmawiać z mamą o kaczkach i zajrzeć do kalendarza, który wisiał na drzwiach. — Bo widzysz, Marynko — rzekł — gęse muszysz pasc a kaczka tu mo błotko i niech tam sobie szlebroce choc cały dzień — Mama przyznała mu rację. Hering jednak nie chciał nasadzić kury w dzień męczennika, bo ciężko by się legły. Mama zmrużyła oczy i także zajrzała do kalendarza, ale okazało się, że mieliśmy dzień Dymitra. Mama się zamyśliła, bo nie wiedziała, czy Dymitr był święty? Więc powiedziała doradczo: — Kurę posadz na nowiu, abo jak je pierszo kwadra; a jak to nie pasuje

Anna Łajming. Zdjęcie z 1960 r.

to jesz lepij, kurę posadzec sobie na niedzelę. Każdy tak robi i jo też. — Tak też Hering zrobił, ale kwoka zniechęciła się pustym przez cały tydzień gniazdem i porzuciła je. Dostała czerwony grzebień, poskrzekiwała i zaczęła się nieść. To też w sobotę Hering siedział przed domem nadąsany i milcząc raz po raz zażywał tabakę. Ze złości kichał głośno aż się rozlegało. A mama akurat wróciła z Kunegundą od szczepienia ospy i zmartwiona pokazywała Heringowej zmarszczone buciki, których nie mogła dziecku wciągnąć.

— Obocz, Matyldo — biadoliła — jak to w tyj wojnie ledze oszukują, że bute se same skoperczołe! —

Heringowa zdziwiona długo oglądała buciki. Mama zabrała się do przepierki.

Wtedy zajechał i przystanął koło nas, jak każdej wiosny, szmaciarz z Brus, wołając: — lumpe, lumpe!

— Teru ni ma żadnych lumpów bo je wojna! — odkrzyknął Hering.

Z domu wybiegła mama i wycierając mokre ręce o fartuch, podeszła do wozu. Ja chciałam zobaczyć świecidełka, które szmaciarz rozdawał za szmaty i zobaczyłam na białym kartonie kolekcje przeróżnych pierścieni. Mama nie dała żadnych szmat, ale słuchała szmaciarza, który wymieniał nazwiska poległych mężczyzn z Brus i tych, których ostatnio wciągnięto na wojnę, i tych co zdezerterowali. Hering ciekawy, także nachylił ucho. Ja tymczasem przyniosłam stare, filcowe pantofle ojca, które mama już raz zamierzała spalić. Teraz dostałam za nie pierścionek z czerwonym oczkiem. Od razu pobiegłam z nim do cioci, która była w polu. Poniżej gradełka naszego lasku, nad samą łączką pieliła grządki warzywne. Dałam go jej. Widziałam, że sprawiłam jej wielką radość, bo zaskrzeczała uradowana i włożyła go do kieszeni. Umówiłyśmy się, że na palec włoży go dopiero nazajutrz w niedzielę, kiedy razem będziemy szły do kościoła.

Ciocia się ożywiła a ja usiadłam na miedzy i z ruchów jej rąk odczytywałam wspomnienia z dzieciństwa i młodości, do których tak często lubiła wracać. Pokazywała jak z rodzicami jeździła w konie do kościoła w Brusach i jak jej matka sprezentowała broszkę. Pierścień otrzymała także, ale zabrała go macocha a ojciec pozwolił na to. Teraz już oboje nie żyją. Kołysząc głową, wzdychała głęboko i na chwilę zadumała się smutnie. A w lasku, który szumiał przyjemnie, śpiewały ptaki. Z dalszego lasu wołała kukułka, a mnie było smutno, że ciocia nic nie słyszy. Wreszcie ciocia wstała, postawiła sobie kosz z zielskim na ramieniu i tak poszłyśmy do domu.

Nazajutrz w niedzielę rano, póki mam narzekała na daleką drogę do kościoła i kiedy nareszcie będzie miała własne konie, ja z ciocią wymknęłam się z do-

mu. Ciocia włożyła pierścionek na palec i trzymając się za ręce, biegłyśmy w stronę Leśna. Prędko puściła moją rękę bo znowu odgrzebywała jakieś wspomnienia a pokazując rękoma, często potykała się o kamienie na drodze. W kościele pierścień się pięknie świecił. Lecz kiedy po nabożeństwie wyszłyśmy z kościoła i ciocia przecisnęła się do budy piekarskiej, przybyłej z Wiela, na palcu wskazującym bułkę, którą chciała kupić, czerwonego oczka w pierścionku już nie było. Ciocia zrozpaczona zaskrzeczała z żalu i odruchowo rozglądała się po wydeptanym piasku. Zapłaciła za bułkę i przez chwilę stałyśmy zmartwione i zamyślone, jakby tu odszukać oczko? Wreszcie ciocia machnęła ręką i ruszyłyśmy w drogę. Słońce piekło więc ciocia zdjęła buty z nóg a ja je niosłam w ręku do domu.

Tam zastałyśmy Heringów podnieconych niespodziewanym przyjazdem Marychny z Berlina. Herman głośno gęgał a Marychna stała przed domem w dużym kapeluszu na głowie z białym strusim piórem, choć obowiązywała ją jeszcze żałoba po Bernardzie. Jednym słowem wysłano ją z miasta na wieś po żywność. Zapytywała więc o masło, słoninę, szynkę, kurczaki lub gęsi?

—Co?! — wrzasnął Hering. — A niech mnie kuszną w rzec! Jo mom Huldze, co mo urzędnika i Emilowi co w Gduńsku mieszko, od peska odjimac, żebe berliniokom w rzec pchac?

Marychna nabrała pańskich manier. Rękoma podparła się w pasie i obrażona wykrzywiała wargi. Obróciła się na pięcie i zawołała:

— Pfuj, deiwel! Jaczi brzedczi słowa!

— Teru jak im głód doskwarzoł, jo, głepi Hering mom im dac! Głód? Jo tyj wojne nie chcoł!

— Tec oni tegc za darmo nie chcą — wyjaśniła Marychna dobitnie i aż pochyliła się w jego stronę.

Skończyło się na tym, że Marychna obeszła Lendy i Trzebuń za żywnością dla berlińczyków. Za to z ojcem rozmawiała mało. Zaczęła nawet podrwiwać z siekiery i szpadla, obce były jej grabie oparte o ścianę domu, do których Hering prawie co wprawił nowe gwoździe. Nawet nie pamiętała jak one się nazywają. Ale kiedy opowiadała o berlińskich kinach i innych cudach, cofnęła się krok w tył i piętą nadepnęła na grabie tak, że trzon rąbnął ją w głowę. Wtedy krzycząc zawołała: — Że też tata te głupie grable tu postawioł!

Hering zachłystnął się od śmiechu i zaczął głośno kaszleć. Berlinianka przestała rozmawiać. A Hering odszedł na bok by splunąć, przy tym zatoczył się nieco i śmiejąc się, głośno zawołał: — Po tyj zocerce człowiek je wesoły, ale na nodzi słaby!

Marychna wszystkim przywiozła jakieś drobnostki. Hermanowi trzy chusteczki do nosa, ale on, który wszystko słyszał a mówić nie mógł, nie przyjął ich a niezadowolony głośno gęgał: Hege, heu! Gniewało go, że Marychna jest wystrojona a on, najstarszy w rodzie, poza Przymuszewem i Sominami, świata bożego nie widział; ani nie jest żonaty ani munduru z guzami też jeszcze na sobie nie miał. A kiedy Hering nareszcie krzyknął „Ruhig", rozgniewał się jeszcze bardziej, zrobił się głośniejszy i wtedy widziałam, jak ten wiecznie zgryźliwy i ponury Herman nagle głośno się rozpłakał jak dziecko. Łzy 47-letniego mężczyzny bardzo mnie przestraszyły a innych zaniepokoiły. Heringowa, mama i Marta uspokajały go a on rękawem rozmazywał łzy. Wtedy Marychna, jak na urągowisko znowu podawała mu chusteczki i dobrotliwie przemawiała do niego. Lecz tym tylko rozdrażniła go jeszcze bardziej, bo jeszcze głośniej gęgał hege hau!

— Co za werwas, do diochła — krzyknął Hering do Marychny. — Odyńc mnie z tymi szneptuchama a dejta mnie do niego podync! — Wszyscy się rozstąpili. Hering ujął syna pod ramię i niewiadomo po co odprowadził go aż w kąt kuchni, gdzie stała beczka z kiszoną kapustą. Tam uroczyście obiecał mu, że jesienią zabierze go na jarmark do Brus, gdzie zobaczy dużo ludzi i domów, oraz olbrzymi kościół z dwiema wieżami i zegarem. Tam, w Brusach kupi mu futrzaną czapkę. Herman uspokoił się.

Tego wieczoru w łóżku dostałam lekkich dreszczy nerwowych ale minęły i zasnęłam.

Nadeszło święto Bożego Ciała. Był to dzień, w który ludzie, deszcz nie deszcz, w białych wykrochmalonych szatach podążali do Leśna na procesję. Ja też poszłam do kościoła z ciocią, a kiedy wracałyśmy, zobaczyłam na naszym podwórzu konie z żółtą bryczką. Powóz był nowiuteńki, z zielonym obiciem. Przyjechał wuj Bernard Edel z wujenką z Borowca. Wuj, okrągły na twarzy, wygolony był jak ksiądz i bardzo podobny do mamy; tak samo zaciskał wargi kiedy się zadumał i tak samo słuchając nowiny otwierał usta. Był milczący. Za niego mówiła żona. Szybko załatwiła sprawę z matką, chodziło o pożyczkę pewnej kwoty na wybudowanie przybudówki dla torfu. W starym torfowniku stoi teraz bryczka, która nie może moknąć. A że się zachmurzyło, wuj zaraz po obiedzie hałaśliwie odsunął się z krzesłem od stołu i mrugnął na żonę. Oboje wstali i pożegnali się.

— Bóg wama zapłac za pożyczkę — rzekł tylko wuj, a wujenka dodała: — Tele mielesma wedatków przy osuszaniu tyj łączi; teru sano moma ale detczi nom stopniałe jak szmolc.

— A jak tam waju Jonk? Pisze on z frontu? — spytała mama.

— Tec pisze — ponuro odrzekła wujenka, wchodząc do bryczki. Wuj zaniepokojony obejrzał się na niebo.

— Mota nową bryczkę?

— Już trze lata mo i w stodole stojoła. I le do kościoła jedzemy jak je pogoda. Jak pado, lezem piechty bo jij szkoda. A zazdrzyjta do nos na gode! — krzyknęła jeszcze wujenka odjeżdżając.

— Na gode jest za zemno i za krótczi dzeń! — odkrzyknęła mama. Na to już nic nie odrzekli.

Parę dni potem z Lipusza przyjechała moja siostra Klara. Na czas poszukiwania nowej posady, chciała być w domu. Podobał mi się jej elegancki kostium w kolorze pastelowym i skromny, bardzo twarzowy kapelusz. Czarnooka brunetka, ręce miała małe jak mama i podobnie jak mama mrużyła oczy. Przeglądała nasze polskie gazety oraz Heringów niemieckie i tam znalazła odpowiedni inserat. Jednak miejsce pracy znajdowało się aż w Anklamie koło Meklenburgii. Nie pytając się rodziców, wysłała podanie. Na odpowiedź czekała trzy tygodnie. W międzyczasie szperała po szafach za czymś słodkim. Na skutek wojny brakowało słodyczy a przydział cukru na kartki był niewystarczający. Zauważyłam, że pod nieobecność matki, Klara nalała sobie do kubka czarnej kawy i pokryjomu wsypała do niej dwie kopiaste łyżki stołowe cukru. Chciała go zamieszać łyżeczką ale weszła mama i do niej powiedziała. Klara zakłopotana, odłożyła łyżkę i słuchając popijała kawę. Kiedy spostrzegłam, że większą część wypiła, przyskoczyłam do niej i wydzierając jej filiżankę krzycząc prosiłam: — Dej mnie te fuse! Te biole fuse mnie dej!

— Dejże jij te fuse jak ona tak chce — krzyknęła mama podenerwowana. Wtedy Klara ze złością ustąpiła a ja z kubkiem uciekłam z domu aż do drewniarki. Tam usiadłam na klocku i spragniona słodyczy, wydobywałam z filiżanki cukier palcami i językiem, jak się dało.

Nadeszły żniwa. Hering przezornie dał sobie pokrzywami wysmagać krzyże, aby uchronić się od nagłego postrzału. Aż tu niespodzianie zjawił się jego zięć Janke wraz z rodziną. Miał urlop. Zdjął mundur kolejarski oraz świecące buty i włożył drewniaki. Mój ojciec ucieszył się z takiego kumpla i zaczęło się dowcipkowanie. Starszy brat Janek, który skończył już 13 rok, również brał się do kosy. Za czterema kosiarzami grabiły cztery kobiety. Ida tylko ze swoimi palcami nie mogła wiązać snopków, więc ja ją wyręczałam a ona razem z Hermanem stawiała sztygi. W tym czasie Klara otrzymała angaż na ekspedientkę do największego sklepu bławatnego w Anklamie i w domu zaczęło się gorączkowe pakowanie. Rodzice a zwłaszcza mama była zgorszona tym dalekim wyjazdem i Klara musiała im przyrzec, że wróci jeśli w przyszłości dostanie pracę bliżej. Ponieważ po raz pierwszy wybierała się w tak daleką drogę, mając dopiero 18 lat, Janke wyciągnął swoją mapę kolejową i z wielką

dokładnością objaśniał jej drogę na Chojnice — Szczecinek — Białogard — Szczecin. Napisał na kartce ile minut i na którym peronie poczeka w Szczecinie na pociąg do Pasewalku i Anklamu.

Fot. A. Klejna

Na drogę Klara ubrała się modnie. Granatowy kostium z długą wąską spódnicą z rozporem. Niemodne już były gumowe pasy i łańcuszki z zegarkiem na szyi, łańcuszek wiązało się wokół pasa a zegarek chowało się do wewnętrznej kieszonki w pasie spódnicy. Klarę żegnano z niepokojem. Zabrać się miała z Przymuszewa na dworzec wozem pocztowym. Kiedy pokazał się żółty wóz, odprowadziliśmy ją wraz z Heringami i Jankami ganeczkiem do drogi. Poczciarz Gracjan Janta, jak nas zobaczył, wytrzeszczył oczy i przystanął. Ojciec ułożył jej pakunki na górze w kojcu.

— Jec z Bodziem, córeczko! — rzekł. — I bądź cerpliwo dlo ledzy w składze.

— Jo! — podchwycił Hering. — Żebes im cężczi wałe na pazure nie szmergała! — nie wiedział, że rozgniewa tym Klarę, która krzyknęła oburzona.

— To muszoł wuj Bernard Edel naklotkowac! Nie dosc, że lozł z tym aż do księdza prezesa, żem mu palc wetrącoła, to jesz do waju pleskotoł!

Hering odrzekł: — Te sę nie szajstej a słuchej co ce tata mówi!

— Ledze, co wa sę teru hajtujeta? — wtrącił się poczciarz. — Ma muszema mig na banę, a wa sę tu zaczęli ternowac!

— Richtich tak! Dalij, dalij! — zawołał po kolejarsku Janke.

Klara musiała unieść wąską spódnicę i pokazać łydki, żeby dać krok na wysoki stopień wozu pocztowego. Usiadła obok poczciarza i odjechała do Anklamu na zawsze, gdzie żyje i mieszka do dziś.

Było już po żniwach. Kwitły astry, dojrzewały słoneczniki. W którąś niedzielę po południu odpoczywaliśmy na wyszorowanych przez ciocię do białości ławach przed domem. Ja zabawiałam siostrzyczki a chłopcy paśli krowy. Marta w rozmowie o Klarze, która już nadesłała list, oświadczyła swoim rodzicom, że nie zamierza wiekować w Przymuszewie. Chce wyjechać choćby do Emila, do Gdańska. Marychna może, Klara może, a ona nie może?

Hering popatrzył na nią i zapytał: — A witką chcesz?

— Co mnie tu tata witką straszy? Jo jem staro dosc i wiem co chcę! Mom czekac aż sę tu zestarzeję? Ju na przodku ni mom zęba! Alma mo kawalera, żołnierza a jo ni mom miec? Bo jak sę rozgorzę to sama pojadę i więcyj nie przejadę nazód.

Hering zdębiał a jego żona mówiła:

— Sedz cecho, córko, a on som przyndze.

— Mom cecho sedzec jak Agata na Mutkowie?

Mama i Ida były za tym, aby Marta jednak się przewietrzyła i zobaczyła jak mieszkają Emile.

— Prowda! — rzekł nagle Hering. — Niech oboczi jak im idze i wecknie, cze Emil tam czasem nie chmolnie sobie sznebusa. Ach heu, i niech jesz wewacho, co za czort jego namówioł że on sę wplątał do tego „czerwonego związku" i co on z tego mo?

Marta wyjechała do Gdańska obładowana żywnością. Wróciła po 10-ciu dniach wesoła i szczęśliwa. Nabyła tylko zwyczaju, że przy uśmiechu dłonią zakrywała brakujący ząb. Z opowiadań jej okazało się, że w Gdańsku poszła do cyrku i tam zaczepił ją jakiś żołnierz, który się bardzo ucieszył, że pochodzi ze wsi, Zawsze marzył, by z taką dziewczyną jak ona się ożenić. Jest bogaty, bo zaoszczędził 30 000 marek.

— Widzała te je? — spytał Hering z niedowierzaniem.

Marta cmoknęła niecierpliwie: — Tata je taczi niedowiarek! Tec on tu w niedzelę przyjedze, to woma pokoże tę książkę z banku.

Heringowie osłupieli. A Marta opowiadała dalej jak razem z żołnierzem zwiedzała Gdańsk, była w kinie a w kieszeniach brzęczały mu monety... jak wieczorem odprowadzał ją do domu Emilów. A ząb? Jak tylko skończy się wojna, to będzie i ząb. Tak powiedział. Heringowie przysłuchiwali się rozgorączkowani. O czerwonym związku jednak niczego wyjaśnić nie umiała. Emil tylko coś tam odburknął. Jest zaharowany — powiedziała. Wraca późno a wczesnym rankiem wychodzi. Dał nas pozdrowić. Dzieci rosną, ale brak żywności i przed sklepami tworzą się długie kolejki.

Żołnierz przyjechał niespodziewanie już w sobotę. Przybysza nikt z nas nie zauważył bo zjawił się od północy, ze stacji Dziemiany. Ale w ostatniej chwili ujrzeli go przez okno Heringowie. Ja tylko usłyszałam w sieni obce kroki i szczęk szabli. Zapukał do naszych drzwi. Otworzyłam je zaciekawiona. Spod ramienia żołnierza, który salutując rękę podniósł do czapki, ujrzałam jak Marta w papilotach czmychnęła z kuchni przez sień do komory. Palcem wskazałam żołnierzowi drzwi do Heringów, a potem weszłam do rozgorączkowanej Marty, której pomogłam się przebrać. Miałam jej przytrzymać lusterko, w którym drżącymi rękoma czesała włosy ale wciąż trzymałam je krzywo. Wobec tego, rzucając wszystko, jak dzika pobiegła do naszego pokoju, by w naszym dużym lustrze dokończyć fryzury. Z komory przyniosłam jej buciki i już ubrana poszła przywitać się z narzeczonym.

Martę z żołnierzem widziałam na dalekich spacerach, chichotała z nim po kątach; pływała naszą łódką po stawie i ze szczęścia śmiała się hałaśliwie. Pokrzykiwała o byle co, jak gęś.

Po wyjeździe żołnierza, któremu nie szczędzono żywności dla jego matki mieszkającej w Heubudach, Hering wszedł do nas na pogawędkę. A była to niedziela.

— Co to jo chcoł rzec a nie zełgac — zaczął. — Westa i pomedytujta, że ten bies jednak mo te 30 000 marek w banku. Pokozoł nom książkę. Zaru po wojnie chce sę z Martą ożenic. Co wa na to? Teru Lehrkemu żółc pęknie, że Marta tak cechim pęczem ożeni sę z bogatym kawalerem. — Widziałam, że mamę to zaskoczyło a Hering mówił dalej. — A te, Marynko, co tele lot oszczędzoła, mosz zaledwie 16 000. — Mama w ostatnich dniach była nachmurzona a kiedy dziś wróciła z kościoła, bałam się jej, bo niepodobał mi się profil i zaciśnięte usta. Teraz słuchała co mówił Hering, otworzyła je i powiedziała utyskując:

— Jo. A jesz prze koscele czułam, że detczi spodają a wara idze w górę, wszetko drożeje. Że też me prędzyj ni mogli jaczigo gburstwa kupic, ale tec ten mój o to nie dbo i do soche nie je.

— To je prowda, że Jonk le do tech dynrów i tańcowaniu je stworzony, ale Marynko, detczi ostaną detkama a mów co chcesz — odrzekł Hering pogod-

Po otrzymaniu maszynopisu wspomnień Anny Łajming natychmiast zwróciłem się do autorki o nadesłanie zdjęć z albumów rodzinnych, które uzupełniałyby wielce interesujący tekst. Pani Anna Łajming nadesłała jednak smutną wiadomość; wszystkie jej fotografie z dzieciństwa przepadły już w 1939 roku, u innych członków rodziny w różnych okresach ostatniej wojny. Zachował się tylko jeden album, który zawiera fotografie z czasów międzywojennych. Pani Łajming obiecała go udostępnić redakcji po napisaniu wspomnień z okresu swojej młodości. W swoim domowym archiwum posiadam w depozycie kilka zdjęć z tego albumu, które otrzymałem podczas pierwszego spotkania z autorką w Słupsku w 1970 roku. Myślę, że Czytelnicy przyjmą przychylnie ich opublikowanie już dziś, mimo iż bardziej będą korelowały z następnym tomem wspomnień.

W. KIEDR.

Rok 1909. Od lewej: pięcioletnia Anna Żmuda-Trzebiatowska, starszy o dwa lata brat Jan, matka Maria (ur. w 1875 r.) oraz siostra Klara (ur. w 1897 r.).

Fot. z 1929 r.

1935 r. Anna Łajming z córką Wierą.

Druga z prawej Anna Łajming. Pierwszy z lewej – jej mąż Mikołaj.

nie. — Za pieniądze wszetko będze! Żebes wiedzała. — I uśmiechnięty wrócił do poprzedniego tematu. — A jo temu kawalerowi mówię wej tak: jak Marta sę z tobą ożeni, me na stare lata muszema bec u nij, a będze nos aż czworo bo jest Ida i Herman; żebes naprzodek wiedzoł. Me starzy, wnet kopeta wecągniema, ale Ida i Herman, żebe ni miele krzywde bo jak jo o nich meszlę, zgroza mnie objimo... A on sę smioł, i mówioł, że jak są detczi to je wszetko. Jo. I to sobie mierkuj, Marynko. A głepi ledze szemrzą, że nibe w detkach diobeł pazurama mieszo, a jo mówię, że nie. Mosz detczi, mosz wszetko.

Tegoroczna jesień była zimna. Żebracy przynosili różne wiadomości dotyczące wojny. Nie było obuwia, zabrakło mydła i nafty. Wobec tego skręcało się lampę na mały płomyczek. Podkręcało się tylko, kiedy robiliśmy zadania szkolne i kiedy starszy brat Janek czosał dla nas drewniaki. Zaręczona Marta często otrzymywała listy miłosne i żołnierzowi wysyłała paczki żywnościowe, teraz aż do Francji. Marychna pisała z Berlina, że nie może przyjechać na gwiazdkę do domu bo jej pani pośliznęła się na podłodze i złamała nogę.

— To jij zdrowo! — rzekł Hering po wysłuchaniu tej kiepskiej nowiny. — Niech podłogę nie glancują a sepią pioscem jak me. U nos nicht sę nie pośliznie.

Styczeń nie był zimny, dopiero początek lutego dał się we znaki. Padał śnieg, szalały mroźne zawieruchy. Zbliżały się zapusty i mama chciała piec pączki. Ojciec z nadleśnym wyjeżdżał po zakupy do Brus i zabrał także nasze kartki na cukier i pszenną mąkę. Ojciec już wychodził, kiedy mama raptem pośpieszyła za nim do sieni:

— Kup u Wyszyńścich wieko na tę dużą gropę. To drewniane je brzedczi. Bo tak jak baronowa nidze sę nie obzerała, tak Anderschka slepi w każdy kąt i może meslec, że ono je osmolone. Żebe wieldzi boło, pamiętej! — I zadowolona wróciła do ciepłego pieca.

Śnieżyło przez cały dzień i dął silny wiatr. Widziałam, jak Hermanowi, który na dworzu rąbał drzewo, zleciał kapelusz z głowy. Na kolację miała być kawa zbożowa na mleku. Mama poszła na górę, by z wędzarni przynieść kawałek suchej kiełbasy. Położyła ją w izbie na stole. W oczekiwaniu na ojca siedzieliśmy w kuchni. Mama sięgnęła po śpiewnik i podkręciła lampę. Wyśpiewaliśmy już kilka nabożnych pieśni, kiedy w pewnej chwili kot przystanął u drzwi wejściowych i oglądając się na nas, zamiałczał długo i przeciągle. Nam to się wydało podejrzane i mama zajrzała do ciemnej izby. Kiełbasy na stole nie było. Leżała przez kota obgryziona na podłodze, i zaczął się lament. Pies jakby zrozumiał o co chodzi i rzucił się na kota zanim otworzyliśmy mu drzwi. Ale w tej chwili wchodził do nas Hering i zawołał zdziwiony:

— Co wa tak suwota?

— Kot nom czełbasę zjodł! — zawołała mama wzburzona.

Hering machnął ręką. — Co tam czełbasa, czede człowiek nie żyje — rzekł i wyjawił, że Glasów Karol zginął na wojnie.

Mama wstrząśnięta patrzyła na Heringa.

— Jeny! — zawołała wreszcie a ciocia mrugnęła do mnie o co chodzi? Pokazałam jej na migi. Wydała tak dziwny okrzyk, jakiego nigdy w życiu u niej nie słyszałam. A kiedy mama wciąż kołysała głową, drzwi otworzyły się i wolnym krokiem wszedł ojciec. W ręku trzymał pakunki a pachą przytrzymywał olbrzymią pokrywę na kocioł.

— Łuch! — krzyknęła mama. — Taczi wieldzi wieko?

Ojciec przystanął i obejrzał się na płytę kuchenną. Pokrywę przymierzono. Przykryła nie tylko kociołek ale i całą płytę z innymi garnkami. Ciocia Mala otarła łzy i zdumiona także się przyglądała.

— Kara i wóz! — zdziwił się Hering. — To te, Jonku, ni mosz żodnygo mierku?

— Czase dobroce! — wyszeptał ojciec zmartwiony, kołysząc głową.

— Żebe taczi rumot kupic! Większygo wieka tam nie boło? — zadrwiła mama. Wtedy ojciec wrzasnął:

— Jak człowiek ni mo miare ze sobą a wleze do taczij wieldzi karczmę jak u Wyszyńscich, to wszetko wedowo sę małe! To też me ni mogli tego wieka o żewy swiat w bryczkę wcapowac.

— Co też ten Andersch sobie mógł meslec? — westchnęła mama, kręcąc głową.

— Tec me to wieko razem kupali. Dzewował sę i chcoł wiedzec, do czego do wieko miało bec? Ale Wyszyńsko mówioła: Lepij za duże niż za małe. I tak mnie je wtramoloła. Jesz Anderschowi sę nie widzało, że ona ze mną po polsku godała, choc bies, wszetko rozumie.

— Ten sknera muszy wszędze ten swój nos wtykac — odezwał się Hering. — Freiherr tym sę nie czerowoł. Freiherrka też nie. Alma mówioła, że ona nawet sę nie znała, czej sę woda gotowała. — Hering widząc, że rodzice nie słuchają a zajęci są oglądaniem pokrywy, wyszedł z kuchni. Głucha ciocia także je oglądała i oparła o kominek. Nie słyszała jak się obsunęło i zahałasowało.

— Jak to wieko rumoce! — z wymówką znowu odezwała się mama.

— Jo. Drewniane wieko je lepsze bo tak nie trzoskuje — powiedział ojciec łagodnie. Zmęczony chciał przysiąść ale w swym zakłopotaniu zamiast iść prosto do krzesła, obszedł naokoło zasłonę. Usiadł wzdychając głęboko i wtedy wyjawił prawie szeptem, że na wojnie poległ jego brat, nasz stryj, Michał. Po chwili ciocia rozpłakała się ponownie.

(c.d.n)

Młoda mieszkanka Wejherowa, Urszula Olszewska, zaczęła w sierpniu 1934 r. pisać pamiętnik. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego: wiele dziewcząt i także chłopców (chociaż tych mniej) podejmuje pamiętnikarstwo w okresie wczesnej młodości. Później zapał wygasa. Ale czternastoletnia wtedy Urszula okazała się dziewczyną konsekwentną. Zachowały się jej trzy zeszyty sięgające do dnia 9 marca 1940 r. Łańcuszkiem przypadków trafiły one do moich rąk aż z Berlina Zachodniego, zresztą od ludzi całkowicie obcych.

Niewątpliwie starsi mieszkańcy Wejherowa pamiętają rodzinę, w której wychowała się autorka, być może także wiedzą coś bliższego o jej własnych losach. Będziemy wdzięczni, jeżeli zechcą nadesłać do redakcji te informacje.

Dlaczego publikujemy pamiętniki Urszuli O., która może jeszcze żyje, jak niewątpliwie żyją niektóre spośród wzmiankowanych przez nią osób? Otóż upłynęło już tak wiele lat od opisywanych przez nią czasów i tak wiele się zmieniło, że trudno wyobrazić sobie szkodę, jaką druk tych dziewczęcych pamiętników mógłby spowodować. Natomiast odkładanie go na później stawiałoby pod znakiem zapytania możliwość uzupełnienia obrazu osoby i środowiska naświetleniem z innych stron.

Wydaje mi się, że zapiski młodocianej autorki, wykazującej bystrość i inteligencję, warte są tego, aby je utrwalić (zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę ubóstwo naszego pamiętnikarstwa) i wzbogacić dodatkami z żywej jeszcze tradycji.

Lech Bądkowski

Pamiętnik

Urszula Olszewska

Toruń, 14 sierpnia 34 r.

Po raz pierwszy poznałam chłopca, który jest inny od reszty. Mówi ładnie na poważne i wesołe tematy i w ogóle jest zupełnie inny.

Chłopcy, których znałam dotychczas, patrzyli głupkowato, mówili od rzeczy, a w rezultacie tworzyli grupę osłów.

Leon jest wysoki, strasznie wysoki. Ma śliczne kasztanowate loki i niebieskie oczy.

Co do tych loków, to Bożena mówiła, że to trwała ondulacja, ale ja temu nic a nic nie wierzę. Nie mogłam jej tego powiedzieć, bo gdyby spytała, dlaczego go tak bronię, to byłabym w kłopocie.

A teraz jak poznałam dużego chłopca.

Wróciłam z pływalni. Wanda spotyka mnie na ulicy i mówi, że — gość jest. Poszłam do małego pokoju a Jochu mnie poinformował, że — Pan Leon przyszedł.

Dziwię się, że nie domyśliłam się prędzej, bo już na schodach słyszałam, że ktoś śpiewa, a mamusia mówiła, że Leon ma śliczny głos. Serce mi zaczęło trochę mocniej bić, bo bardzo byłam ciekawa jak też Leon wygląda. Czy tak, jak go sobie wyobrażałam. Słyszałam o nim dużo z opowiadań mamusi. Mówiła, że ładnie śpiewa i ślicznie opowiada.

A więc weszłam do pokoju. Leon z mamusią siedział przy fortepianie. Jak weszłam, to słyszałam, że spytał — Więc to ona?

Widocznie mamusia też opowiadała mu o mnie. Potem znów zaczęli śpiewać i wcale na mnie nie patrzył. To mnie trochę złościło, bo chciałam mu się przyjrzeć, a przecież nie wypadało stanąć naprzeciw i gapić się.

Bawiłam się więc z Jochimem.

Potem poszliśmy razem do ogrodu po kwiaty, bo ciocia miała przyjechać. Poszłam w głąb ogrodu.

Witold mi potem powiedział, że Leon chciał przyjść, ale mamusia powiedziała, że lepiej nie. (Pewnie dlatego, bo jak poznałam tych z Gryfu, to Witold mówił, że mam kawalera).

Leon pytał mamusię, jak ma do mnie mówić, czy pani, czy koleżanka, bo per ty nie wypada. (Teraz mówi i pani, i koleżanka, czasem per ty).

Po kolacji siedzieliśmy w gabinecie, Leon chciał tańczyć ze mną, ale gramofon był zepsuty.

Teraz zwracał na mnie uwagę, przy kolacji był uprzedzająco grzeczny a nawet czasem robił „oczka". Byłam zdziwiona, bo znamy się dopiero dzień...

Tańczyliśmy raz. Okropnie nie chciałam, bo mi ciągle ta zwariowana bluzka wyłaziła.

Leon poszedł o jedenastej i powiedział, że wpadnie w niedzielę.

Tu jestem szczera. Zupełnie szczera.

Piszę jeszcze jeden pamiętnik. W nim nie jestem zupełnie szczera. Ale żal mi go zniszczyć.

Leon przyszedł, a raczej przyjechał na rowerze razem z Dąbrowskimi, bo je też zaprosiłam.

Jak szliśmy dziewczynki odprowadzić, to Leon powiedział, że je nie cierpi. Dlaczego?

Myślę, że zgadzamy się z Leonem pod wielu względami. Np. On jest bardzo porywczy. Ja aussi[1]).

Raz wracamy z pływalni tramwajem a mamusia mówi — Patrz! Leon jest.

Bardzo, nie wiem dlaczego, się ucieszyłam. Ja równie gwałtownie potrafię pokochać jak znienawidzieć. Leon powiedział, że już idzie do domu. Jak okropnie mi się smutno zrobiło... Cała radość zgasła. Musiał to zrozumieć, bo zawrócił i poszedł ze mną. Widziałam, że się gniewa. Więc wolałby pójść?

Zaproponował pójście do Cyganów na Jakubskie. Mamusia pozwoliła i po kolacji poszliśmy. Leon, Jochu, Witold i ja.

Widziałam, że duży chłopiec był coraz bardziej zdenerwowany. Witold pewnie to zauważył, bo zapytał — Panie Leonie, co panu?

Powiedział, że dla nas opuścił operetkę pt. „Baron cygański" i to go gniewa.

Na to w duchu powiedziałam — selera — a głośno — to po co poszedł do Cyganów?

---

[1]) aussi (franc.) — także

Odpowiedział mi szeptem, że chciał mnie zobaczyć. Więc zależy mu na mnie...

Pojutrze idę z mamusią i Witoldem do koszar. Kapt. Dymirski zaprosił. Mówił, że będę miała towarzystwo. Jest 100 i coś podchorążych. Pf. To co.

Kapitan mówił, że szkoda, że nie byłam na balu podchorążych. I ja żałuję. Potańczyłabym. Kapitan mówił na nas — Dzióbki. — Stary dziad. Zdaje mi się, że nie tyle do Witolda, co do mnie. Mam 14 lat a już umiem tak coś wyczuć. Zresztą życie uczy.

Staję się powoli dorosłą. Witold dostał pierwsze długie spodnie, a mnie na zabawie w rękę całowali.

Gdy szliśmy od Cyganów Witold i Jochu już się pożegnali i poszli. Mnie na pożegnanie Leon chciał pocałować w rękę, ale nie dałam.

Powiedział, że przecież powinien być wyjątek.

— Dlaczego właśnie ty? — zapytałam głupio.

— Aaach! Ty nie wiesz? To źle.

Czemu tak głupio zapytałam? Przecież zrozumiałam. On ma być wyjątkiem, bo mnie kocha.

Kapitan chciał mnie też pocałować w rękę, pewno żartem, ale mu ją wyrwałam.

Teraz to mnie bawi, potem znudzi, jak wiele innych rzeczy.

Leon pojechał do domu. Powiedział, że nie ma po co tu siedzieć. Widzieć mnie codziennie i tak nie może, więc lepiej, że pojedzie. I pojechał.

Przez kilka dni byłam w dziwnym nastroju. Nawet to zauważyli. Ciągle o nim myślałam. Czytałam właśnie „Zbiega". Bohater to samo przeżywał co ja i dlatego tak chętnie tę książkę czytałam.

Myślę, że Leon przyjedzie, żeby mnie pożegnać.

Uważam, że ciocia Władzia by mnie lepiej zrozumiała jak mamusia. A może mamusia nie chce mnie zrozumieć? Może chce mieć przy sobie zawsze taką małą dziewczynkę?

Myślę, że miłość to tak jak śmierć. Może to głupie porównanie, ale tak jest. Miłość nie pyta o wiek, zabiera w srebrne sidła i już.

Kiedyś mówiłam, że Wanda robi mi coś w rodzaju wyrzutów. Wtedy Leon zawołał:

— Rany Boskie! Cóż kuchta ma do tego!

Duży chłopiec jest porywczy. Zupełnie jak ja.

Toruń, 15 sierpnia 34 r.

Aż mi się coś robi jak sobie pomyślę, że muszę wrócić do Wejherowa i tam patrzyć na głupie twarze gamajaków.

Nie jestem wyjątkiem. Każdy chłopiec i każda dziewczynka mają swą „sprawę sercową". Nawet Witold. Któż by się spodziewał?

Myślę, że byłby raj na ziemi, gdyby Leon chodził do seminarium w Wejherowie, ale to — „marzenie ściętej głowy".

A teraz najlepsze. Czytałam w gazecie, że lekarze stwierdzili, że miłość to bakterie! Do licha! Nic w to nie wierzę! Nie chcę w to wierzyć! Miłość to uczucie i już.

Miałam bzika na punkcie korespondencji. Teraz to zupełnie nie. Myślę, że nie będę już pisać do korespondentek. Napiszę tylko do Lusi, ewentualnie do Hanki i do Leona, jeśli on napisze.

Myślę, że to nic złego, jeżeli będę pisać do Leona.

Z Gryfu znam „Wąsika" Czempisza i Zaionca. „Wąsik" asinus[2]). Czempisz ganz dumm und asinus aussi[3]). Zaionca można znieść. Miły z niego kolega.

Jutro mamy iść do koszar, ale nie chcemy tam iść z Witoldem sami. Chcemy iść z mamusią. Co ja bym tam sama robiła?

Dziś mieliśmy jechać do Barbarki. Tamci w powozach, a my na rowerze. Ale — figa.

---

[1]) asinus (łac.) — osioł

[2]) ganz... — zbitka niemiecko-łacińsko-francuska, znaczy: zupełnie głupi i osioł także.

Toruń, 18 sierpnia 34 r.

Jeszcze dziś ostatni raz do pływalni. Bożena nie idzie, bo ma ondulację. Idę ze Zdzichą.

Czempisz mówi do nas per ty, ale ja mu to odzwyczaję.

Wczoraj bardzo ładnie bawiliśmy się z Jankiem (Zaionc).

Przepłynęłam 500 m jedną ręką, a 840 dwoma.

Dzisiaj sobota, więc może Leon przyjedzie, bo w poniedziałek do szkoły.

Wcale nie wiem co będę robiła w Wejherowie.

— Pluć i łapać i o ścianę chlapać — tak mówi Witold, ale to nie dla mnie zajęcie.

Toruń, to moje ukochane miasto. Bo po 1.- tu się urodziłam, 2.- mieszkają Güntrowie, 3.- dużo miłych wspomnień.

I w ogóle Toruń — ósmy cud świata (choć nie wiem, jakie pierwsze siedem).

Na pewno, gdybyśmy tu zostali, to kapitan prosiłby nas na konie, no i pływalnia i ogród jest, no i Bożena...

Więc jeździliśmy na koniach. Kapitan mówił, że mam talent do jazdy na koniu. Teraz to chłopcy, zwykle się przechwalający, przyznali mu rację. A więc — kapitan mówi, że mam talent do jazdy na koniu, tatuś, że do samochodu, a mamusia, że do fortepianu. Jestem ciekawa, jaki talent naprawdę do mnie należy.

Do pływalni nie poszłyśmy, bo obydwie „gąski" mają ondulację. A przecież miałyśmy się pożegnać z Zaioncem, pomyśli, że jestem niesłowna.

Już wieczór... Leona nie ma... Duży chłopiec nie przyszedł.

Wejherowo, 20 sierpnia 34.

Czekałam jeszcze na próżno całą niedzielę, szukałam na próżno na dworcu w Toruniu i Bydgoszczy. Duży chłopiec nie przyszedł mnie pożegnać...

Oczekuję listu od niego.

Kochany, kochany Toruń! Uprzątnęłam z szafy książki i na górnej półce mam wszystkie pamiątki z Torunia. A więc ten zeszyt, mały notes od Jochima, katarynkę, pamiętnik i zeszyt z płatkami kwiatów z Torunia.

Gdy odjeżdżaliśmy z Mokrego to o mało nie „ryknęłam", ale się trzymałam i udawałam wesołą.

Zawsze mam przed oczyma małą, białą plamkę przy płocie. To była bluzka Jochimka.

Kochani chłopcy stali tak długo, dopóki tramwaj nie zniknął na zakręcie.

Chłopcom pewnie też bardzo żal było, że odjeżdżam, bo Jochu dał mi mały notesik na pamiątkę, a Witold kupił cukierków, które na poczekaniu zjedliśmy.

W ostatni dzień ślicznie się bawiliśmy. Chłopcy jeszcze nigdy tacy mili nie byli. Było nam bardzo dobrze. Widocznie oni to też odczuli, bo Witold powiedział z żalem w głosie — Szkoda, żeśmy się prędzej tak nie bawili...

Bawiliśmy się „Pchełką" przed południem, potem poszliśmy do kościoła, a następnie do ogrodu. Chciałam wleźć na drzewo, ale czym prędzej zlazłam, bo zjechałam po pniu i starłam sobie kolano do krwi. Witold zaraz dał mi chusteczkę (?!) i za chwilę siedzieliśmy na dachu, dopóki wuja Antek nas nie zegnał.

Ostatnie pół godziny bawiliśmy się na wozie.

Witold i Jochu odprowadzili nas na przystanek. Jakże mi żal było opuszczać kochane, stare Mokre...

Patrzyłem na znikające wierzchołki drzew ogrodu i było mi coraz smutniej, smutniej... Tak mi się płakać chciało... Tak chętnie bym została... Jaki szczęśliwy jest Witold i Jochu... I dużego chłopca nie pożegnałam.

Wejherowo, 22 sierpnia 34 r.

Tak mi strasznie smutno...

Tak gorąco kocham Toruń, moje kochane, stare miasto. Jak tu nudno w Wejherowie. Tak bardzo bym chciała, żeby Leon napisał. Kochany, duży chłopiec. Chyba go nigdy nie zapomnę.

Ach! Jak te dziewczynki krzyczą!

Ktoś mówi, że na drugi rok to pewno wszyscy pojadą na obóz. Tak, jutro. Na drugi rok, jeszcze w czerwcu, na początku wakacji pojadę do Torunia, na moje Mokre.

Dzisiaj napiszę do Leona. Nie wiem czy to wypada, ale on nie zna mego adresu, a zresztą ja wyjechałam.

Napiszę zupełnie krótko.

Już napisałam do Leona.

Duży chłopcze.

Szukałam ciebie na dworcu. Czy nie mogłeś mnie pożegnać?

Odpiszesz mi, prawda?

Nie wiesz jak szalenie pokochałam Toruń.

Napisz pod (adres)

Pa! Ulka

Myślę, że duży chłopiec mi odpisze.

Wejherowo, 23 sierpnia 34.

Tak bardzo się cieszę, że zaczęłam już pisać w Toruniu. To taka miła pamiątka.

Zdaje mi się, że dostanę na gwiazdkę fortepian. To byłoby cudownie. Kupiłabym te nuty co są w Toruniu, i tak, jak tam, co wieczór mamusia by grała a ja bym słuchała.

Mamusia nauczyłaby mnie kilku piosenek na pamięć, bo przecież „Grazielli" bardzo prędko się nauczyłam.

Oczekuję listów z Torunia. Żeby prędko napisali. Jutro pójdę na pocztę. Może coś jest?!

Dziwię się, że te dziewczynki mogą być takie wesołe.

Już kilka razy czytałam, że bohater książki boi się samotności. Nie chce poznać siebie. Boi się być sam z sobą.

Ja przeciwnie. Lubię samotność i znam się na wylot.

Kapitana bardzo lubię. Troszkę go nawet kocham, ale jak ojca albo lepiej brata. Tak, brata. Pewnie dlatego, bo to ktoś z Torunia. Poczciwy ten kapitan.

Kowalski zdecydowany arogant. Chociaż mieszka w Toruniu, mało mnie obchodzi. Chociaż chciałabym, żeby opowiadał o Toruniu.

W tece to sobie napisałam. — „Toruń" i ile razy na to spojrzę, przypominam sobie kochane miasto. Małe — „l" — dużego chłopca.

Wejherowo, 24 sierpnia 34.

Dzisiaj byłam na poczcie. Nie odpisał. A może listu wcale nie dostał, bo nie napisałam numeru domu, ale w takim razie dostałabym list z powrotem, na poste-restante.

Powiedziałam tatusiowi, że życzę sobie na urodziny „Pchełkę". Będzie to mi też przypominać Toruń. Bo w ostatni dzień rano, jeszcze przed nabożeństwem, bawiliśmy się razem „Pchełką". Wtedy deszcz padał, a nam razem było tak miło, tak dobrze.

Bożena jeszcze nie odpisała.

Mamy teraz dużo zadane. Ale to dobrze. To zagłusza trochę tę szaloną tęsknotę za Toruniem. Szczególnie lubię historię i geografię. Matematyki chyba wcale nie polubię.

Wczoraj wysłałyśmy z mamusią list do Torunia. Ja do chłopców też napisałam. Na pewno mi odpiszą.

Wejherowo, 25 sierpnia 34.

Przyszedł list od cioci Władzi. Otworzyłam z biciem serca i cóż za rozczarowanie. Był tylko list dla mamusi i wycinek z gazety o Stefanowiczu. Ale ciocia tak prędko list napisała i wysłała, że chłopcy nie zdążyli odpisać. W liście były dwie fotki. Jedna z chłopcem, a jedna z dziewczynkami. Obydwa zdjęcia były niespodziane, tak że nie bardzo wyszły. Jednak są miłe. Lenek gwiżdże i wyszedł inaczej jak w rzeczywistości. Ta sama jest zawsze jego falowana czuprynka.

Wejherowo, 27 sierpnia 34.

Byłam na poczcie. Lenek nie pisał. Bożena też nie. Żadnych wiadomości z kochanego miasta.

Wejherowo, 28 sierpnia 34.

Postanowiłam nie dać się. Muszę odpędzić tę tęsknotę. Muszę!

Bożenka jeszcze nie pisała. Myślę, że dostanę list po południu. Żeby tylko dużo napisała.

Jakie ci gamajacy mają głupie miny! Czuję po prostu, że nie mogę na nich patrzyć, bo Lenek... Ale to zresztą nic trudnego, bo wolę kamienie liczyć na trotuarze, jak patrzyć na nich.

Już prawie tydzień mija a Lenek nie pisze. Dlaczego?

Wejherowo, 29 sierpnia 34.

Toruń milczy.

Mam zamiar napisać do Witolda i Jochimka dwa wesołe liściki. Witoldowi muszę jeszcze powinszować, bo ma urodziny.

Wejherowo, 30 sierpnia 34.

W tej chwili przyszłam ze szkoły. Patrzę na biurko... List od Bożenki!!!

Jeszcze nie czytałam. Właśnie kiedy się go najmniej spodziewałam, przyszedł.

Cóż za rozczarowanie! Bożena napisała okropnie sztywno i obojętnie.

Nie zawiodę się chyba na chłopcach.

Bożena nazwała Toruń — okropną dziurą!

Ciekawa jestem, jak tedy nazwałaby Wejherowo.

(C.d.n.)

Feliks Marôczk

Moje nepczi

Zyb

Zyb wkół mie
pôlce znobią
nigdze cepła, utuleniégo.
Skarga we mie –
do nikogo nie dóńdze
le do mie.
Na wspomink mój matińczi
wciskô sę zëblëna
i tak bez kuńca
zyb wkół mie.

Skoma

Żebës wiedza –
Wiele mocë je we mie.
Wiele ognia buchnie
z serca
z rączi
z oczi –
téj bës nie szła
ode mie,
le osta w swiece
nié wiôldżim-pustim
le w tim jednym,
dze Të i jô,
Të
i më.

Sóm

Lëcho je samému
na swiece z mëslami
wadzëc sę i żëc.
Co le rëszisz,
zmieniwô sę wsztéc.
Cepła szukôsz – smukô ce zyb.
Krótczi je gón
te wszëtcziégo – przë se.
Ni ma ubëtku – niebójnota je,
jaż w sebie sę spôlisz
na popiół i dim.
– A co z nią, co uleca z nim?
– Zgubił ją jô.
a sóm
jem zagubiony, wezarti wew se
i skôzóny na wieczi –
wiedno na se.

BAZUNA

Nowe bajki kaszubskie

Alojzy Nagel

CËDOWNY WZËRNIK

Od nego czasu minęłë ju lata lateczné cziéj w jedny wsë żił starëszk, chtëren miôł długą sëwą brodę i nosywôł stôroswiecczi kabôt. Wszëtczi dzecë ze swë i ze sprzëtich pustk znałë tego starëszka i zwałë go starkem, choc on ni miôł niżódnëch otroków, otroczëców ani wnëków.

Ob lato on sôdiwôł na jaczim kamie abo kôrczu, a ob zëmę na łôwce, przë cepłim piécku i opowiôdôł dzecom, jak to bëło przódë. Nichdë on nie czëtôł z ksążczi, ale wszëtko powiôdôł z głowë. Powiôdôł o strôszkach, o wieszczich, o cotach, o krôsniętach, o spiącëch wojôrzach, chtërné haszkają pod Garecznicą i żdają na sztërk, cziéj zôs mdą moglë wojarzëc o kaszëbską pojigę. Powiôdôł téż o zarzekłi królewnie i o zarzeklim królu kaszëbsczim, chtërny – tak jak ni spiący wojôrze – haszkô ju czile stalat pod wiôlgą górą i tam przez rësënę nego dzywnégo zômku wëzérô i słëchô, cziéj jesz żëją Kaszëbi.

Jeden rôz malińczi borénk spitôł sę starëszka, cziéj nen król odecknie i mdze dali rządzył, na co odrzekł starëszk:

Cziéj jô bił jesz taczi môli i młodi jak wa, téj jô od jednégo starszégo człowieka dostôł wiédzę, że król nen le téj mdze nazôd rządzył, cziéj na całim Pomorzim lëdze mdą po kaszëbsku gadac, cziéj odeckną zôs storé kaszëbsczié zwëczi, cziéj Kaszëbi przed cëzyńcami nie mdą sę sromôlë, że są Kaszëbami.

– A cziéj to mdze – spitôł sę jińszi knôpiczk. Starëszk nié le rozmiôł powiadac cziekawie o tim, sowiali, ale po sztërku rzekł: To zanôlégo od waji. Starëszk niéle rozmiôł powiadac cziekawie o tim, co bëło piérwi, ale rozmiôł téż bëlno grac na

skrzëpicach, spiéwiwôł pësznė kaszëbsczié piesniczi, a młodzëznę ucził kaszëbsczëch tuńców i téatrów, a młodzëzna jezdza od wsë do wsë, od gardu do gardu, wszędze chdze jaczi Kaszëbi bëlë i odgriwała tam kaszëbsczié téatrë, ucza swojich drëchów i swoje drëchnë z jinszich strón kaszëbsczëch spiéwów i kaszëbsczëch tuńców, co sę i młodim i stôrim baro widza.

Ale nadszedł dzéń, że starëszk umarł. Po jego smiercë wszëtko, co kaszëbsczié, zaczę baro chutko dżinąc. Doszło nawetka do tego, że nié le malińczi dzôtczi, nié le młodzëzna, ale nawetka domôcé zwiérzęta nick a nick po kaszëbsku nie rozmielë. Cziéj chto do tósza, do pujka, do hiszka, do mużë czë do szopczi gôdôł po kaszëbsku, téj nen stwór stojôł i zdrzôł jak warna w gnôt, bo nick nie rozmiôł.

Stôré lëdze gôdiwalë swojim dzecom: Cziéj më stôré powëumrzema, téj kaszëbizna zdżinie ju na wiedno.

Ale stało się jednak jinaczi.

Bëło to we wilię Nowégo Roku. Jeden rëbôk czësto sóm sedzôł na swojim kutrze na strądze i zdrzôł na morze. Morze bëło mirné, a wieczór dosc widny. Nôgle nen rëbôk uzdrzôł na Bôlce dzywną jasnotę. Nie bawiło długo, a na jasnota bëła sprzëti nego rëbôka. Przed nim stojôł stolem, chtëren miôł sztërné twôrze, a z oczi jego sklënił sę jasny jak słuńce wid. Nad stolemem unosziwałë sę w lëfce dwa grëfë, czerwiony i czôrny. Czerwiony grëf bił baro nasowiali, na szëji on miôł szeroką czôrną blewiązkę, a z oczu wcyg lecałë wiôldżi płacczi w morze. Czôrny grëf bił dosc wiesołi, nawetkę sę usmiéwôł, a na szëji on mieł szeroką, modrą jak kaszëbsczié jezora, blewiązkę.

Stolem, nen o sztërech twôrzach, rzekł do Bëlôka.

— Jô jem Swiętewid. Cziéj chłop to czuł, téj uklëkł przed Świętewidem i głosno wołôł:

„Swiętewidze, swięti widze,
Smierc ju jidze.
Plotą nama wińc
na naszą trëmę.
Ni ma Kaszëbów
ni ma
Z Kaszëbstwem kuńc.

— Nie jiwrôj sę — rzekł Swiętewid — i dôł rëbôkowi jantôrowi wzérnik.

— Wez ten wzérnik — rzekł bosczi stolem — biéj wszędze tam, chdze le jaczi Kaszëba je — a cziéj mdą zdrzec na wzérnik, téj twoji lëdze uzdrzą dzeje kaszëbsczi od nôdowniéjszich czasów, jaż do dzysodnia.

Cziéj chłop sę przëzdrzôł, téj Swiętewida nie bëło, a w ręce le miôł jantôrowi wzérnik. Rëbôk sę przëzdrzôł na zégark. Bëła prawie dwanôstô w nocë, zaczął sę nowy rok. Cziéj nen Bëlôk szedł do dom, téj on spotkôł we wsë szoférę, chtërnému opowiedzôł to dzywny zdarzenié, chtërnégo dzyso bił swiôdkem.

Rëbôk i szoféra udbôle sę, że objadą z cëdownym wzérnikem cali Kaszëbë i pokôżą naszimu lëdowi jego dzeje, i dobri i lëchi. Co udbôlë, to zrobilë, objachalë cali Kaszëbë od Hélu do Chojnic, od Koscérznë do Bëtowa. Zazdrzelë do kôżdégo kaszëbscziégo gardu, do kôżdi kaszëbsczié wsë, w kôżdi nórt, chdze le jaczi Kaszëba bił. Wszëtczim sę filmë z jantôrowégo wzérnika baro widza. Nie bawiło wcale długo, a odżëła zôs kszëbskô mowa, kaszëbsczié zwëczi, kaszëbsczié piesniczi. Odeckł ze spiku kaszëbsczié lud.

KUR I PAJK

Jeden gbur miôł wiôldżiégo i pësznégo kura. Kur nen bił włastą na całim podworzim. Cziéj on rozkoscérził swoje bestré skrzidła i wëparził, téj urzasł sę nawetka tósz, pujk, gulôk ji gąsor.

Rôz nen kur uzdrzôł wiôldziégo pajka ji chcôł go ju dżëbnąc. Pajk jął kura prosëc, żebë dôł jemu poku.

Kur terô zaczął sę z pajka wëszczérzac i rzekł: — Z ce, pajku, nicht ni mô niżódnégo profitu. Ale dóm cë trzë dni czasu. Żelë të w tich trzech dniach dokôżesz, że jes komu potrzebny, téj jô — ani moje tipczi — cë niżódny krziwdë nie zrobią, a żelë mdze jinaczi, téj jô ce zjém.

Pierszégo i drëdziégo dnia pajk mirnie haszkôł w chléwie pod posową. Trzecégo dnia on wëlôzł buten, a cziéj uzdrzôł, że pujk pilëje na to, żebë mógł zemknąc kurczę, téj pajk chutko uprządł gęstą pajiczënę. Cziéj pujk skoczeł do kurzętów, téj on sę zapëzglôł w nę pajiczënę. Kur zdążeł pujka wënëkac. Pajkowi zôs podzękowôł, że on obarnił malińczi tipczi i żił z nim w zgodze.

MUŻA I JASKULËCZKA

Bëła so muża mëszowatô, jaczi dzysô ju ni ma. Ona mia wiôldzi jiwer, bo o przëpôłni, niglë pasturk ją wënëkôł na łąkę, muchë i mëdżi ją mocno grëzłë. Jak le mogła, ta odnëkiwa je swojim ogonem, ale to wiele nie pomôgało. Cziéj odnëka je slôdë, téj one przëlazłë wprzódk, a cziéj je odnëka łepem, téj sadłë ji krzëpce i ją grëzłë.

Rôz przëleca w chléw jaskulëczka ji spita sę mużë, cziéj może w chléwie zbudowac gniôzdo.

— Të wierę chcesz za darmôka kol mie mieszkac — rzekła muża.

— Jô nie jem niżódnym zgnilusem — odrzekła jaskulëczka — jô swoje mieszkanié odrobię. Jô mdę chwatac mëdżi i muchë, bo to je moja jôda i od dzysodnia niżódné bączi ce nie mdą grëzłë. — A muża na to: Żelë tak sę sprawa mô, téj zbudëj tu gniôzdo. Jaskulëczka ze swojim chłopem lôta odnąd donąd. Oni co sztërk przënosziwalë to zdëbło słomë, to përznę glënë i baro chutko zbudowalë so na balce w chléwie glënianné gniôzdo.

Odtądka jaskulëczka mia chdze mieszkac, a mużę w chléwie ani mëdżi, ani muchë, ani niżódné bączi wicé nie grëzłë.

BAZUNA

Boles wcale nie znôł swojich starszëch. Cziéj on bił jesz czësto malińczim knôpiczkem, téj tatk i nenka jemu umarlë, a on sę wëchowôł kol cëzëch lëdzy. Cziéj on bił përznę wikszi, téj on pasł

pile, pózdni muże, a potem szopczi. Niglë on swoje szopczi wënëkôł na wedę, to on dostôł od swojigo właste nowy kabôt, i nowi czôpk, wiôldżi szlig ji tósza, chtërnen zwôł sę Bobi. Odtądka młodi pasturk dwa razë dzénnie nëkôł szopczi na pole ji przënëkiwôł je do dom. Midzë tima szopkamë bëła jedna maliszkô i kulawô. Ona nichdë ni mogła zdążëc za swojima drëchnamë. Boles bił dobrégo serca i niósł ną kulawą szopkę wiedno na pole i z pola. Ona sę tak baro przënęca do Bolesa, że jadła trôwę z jego ręczi. Bobi bił zozdrosny i cziéj widzôł że Boles smucze szopkę, téj tósz łajôł, a zdrza sę nawetka czile razy, że on kąsël pasturka.

Jednégo dnia Boles bił tak zmachcony, że usnął na polu, a cziéj odeckł, téj dostrzégł, że jego ulubiony szopczi ni ma.On baro sę tim zajiscył i głosno jął wołac: Bazia, Baź, Baź — bo tak on ną szopkę zwôł, ale Bazie on nichdze nie widzôł, ani ona nie da sę czëc.

Bił ju smrok. Czas bił ju nëkac szopczi do dom, a Bazie jak nie bëło, tak nie bëło. Boles chcôł ju swoje szopczi nëkac do dôm i jął ju wołac drëżącym głosem: Szop, szop, lo, lo, lo — ji w nim uzdrzôł przed sobą dzywną postacëją. Bił to chłop wiôldzi jak drzéwię. W ręce on trzimôł dzywną, wiôlgą drewnianną trąbę i jął na ni grac.

Terô Boles uzdrzôł, jak dosc dalek od môla, chdze on pasł szopczi, wiornęlë dwaji chłopi w las. Biegôł tam chutko, jak le biegac mógł. Cziéj tam przëszedł, téj widzôł Bazię urzeszoną do drzewica i sprzëti niéj grëpę sëchégo brzidu. Kradnisze wierę chcelë szopkę urznąc i tu upiec. Bazia, cziéj uzdrza Bolesa, téj z ucechë blecza: Me, me, me. Cesza sę jak malińczi dzecko. cziéj je samo dłeższi czas i nôgle sę jego mema zjôwiô. Cziéj pasturk przeszedł nazôd do swojich szopków, téj stolema tam ju nie bełło. Na zemi leża wiôlgô drewniannô trąba, a na niéj nôpis „Dlô dobrégo pasturka". Na pamiątkę tego, że ta trąba pomogła mu Bazię nalezc, Boles nazwôł ją bazuną. Terô, cziéj nëkôł szopczi na pole abo z pola, téj wiedno grôł na bazunie. Bazuna sę widza pasturkom z jinszich wsów chtërné téż taczi trąbë so zrobilë. Nie bawiło wcale długo, a na całëch Kaszëbach pasturcë mielë bazunë i na nich gralë.

GULÔK I JÉŻ

Bił so rôz gulôk. On bił baro buszny i z nikogo on so nick nie robił. Jego nicht z domocëch zwiérzętów ani ptôchów nie ledôł. Jednégo dnia nen gulôk uzdrzôł w sadze jeża, téj on zawołôł swoje gułë i jął sę z jeża weszczérzac.

— Jaczi të, jeżu, jes brzëdczi — smiôł sę z nieborôka gulôk. — Të wëzdrzisz jak chróstannô miotła, ce i më ptôchë, i zwiérzęta i lëdze mają na nick — i rozkosczërził buszno swój wiôdżi szadi ogón, ji jął głosno rągac z jeża.

Nawetka skórce na czëpkach wësoczich drzéwiętów czëlë, jak nen buszniôk głosno sę wësmiéwôł: Gul, gul, gul, gul, i sę cëcho pogwizdôwalë.

Jéż jiscył sę sóm do se: Trudno, taczi je ju mój kawel.

Ale nipocy gulôk nie oprzestôł na tim. On namówił swoje gułë, żebë jeża wcyg dzëbałë i wënëkałë go ze sadu. Gułë zrobiłë to, co gulôk jima kozôł zrobic i jéż szedł do sąsôdów. Tam bëłë dobré dzecë i one miałë starę, żebë jéż miôł co jesc ji żebe jemu sę niżódnô krziwda nie sta. Cziéj o tim dostôł wiédzę gulôk, téj szedł tam i jeżowi tam téż psotë robił. Tam bił wiôldżi tósz i ten, cziéj uzdrzôł na podworzim cëzégo gulôka, wëparowôł za nim. Cziéjbë nié jéż, téj tósz bë wierę gulôka użarł. Ale jéż, cziéj widzôł co sę swięcy, téj wskokł tószowi pod szpérë, podniósł swoje pchôcze i klatôka skalécził. Tósz terô zamiast nëkac za gulôkem, zawił, légł na zemi i lizôł swoje bolącé szpérë. Gulôk w tim czase zdążił zwiornąc.

Na drëdżi dzén gulôk przeprosył jeża, podzękowôł mu za ratënk i obaji żëlë odtądka w zgodze.

GRZENIA

Od tego czasu minęło ju czile sta lat, cziéj całi Kaszëbë bëłë pogańszcié, a Kaszëbamë sę opiekowôł pogańszcié bóg, chtëren zwôł sę Swiętewid.

Bił to wiôldżi stolem, chtëren miôł sztërë twôrze, sztërë pôr oczi ji widzôł wszétko, co sę wkół nie dzejało.

Rôz przëszłë do niego dosc wiele nenków, chtërné sę jiscałë, że jich dzecë sę nôskwarné i nie chcą w nocë haszkac.

— Nie jiwrita sę, białczi — rzekł Swiętewid. — Jô przëslę do waji mojigo słëgę Grzenię, chtëren uspi waji dzôtczi, a wa mdzeta mia bezpiek w nocë.

Swiętewid przëwołôł Grzenię do se, dôł mu biô łégo hiszkę i miech maku, i kôzôł jachac tam, chdze dzecë nie chcą haszkac, żebë je uspic. Grzenia na swojim hiszku objachôł całi Kaszëbë, a cziëj bił smrok, a dzecë nie haszkałë, téj wszedł w ną chëcz, kłódł w oczë dwa zôrna maku ji od razu dzôtczi jęłë tak cwiardo żużkac, że jich nicht ni mógł zbudzëc ze spiku, jaż dopiérze porene, cziéj parminie słuńca zazéralë przez rutë, téj dzecë sę budzałë.

Od nego czasu, cziéj starszi widzą, że dzecë nie chcą haszkac, téj wiedno wołają Grzenię. A on baro chutko przëparëje na swojim hiszku. Jego hiszk nie biegulko tak pomalinku, jak te, chtërné mają lëdze. Jego hiszk nëkô jak wiôldżi wiater, jak szôlińc.

CHITRÔ KUKÓWKA

Prawie wszëtczi ptôchë przëlecałë ju z cepłëch krajów, do naju i założëlë swoje gniôzda. Bocón sprzëti lëdzczich chëczi na stodole mieszkôł, skórc nalôzł mieszkanié w stôri krëszce, skowrónk zatacył sę na miedzy, dzëwi plaskajczi i pile w kalmusu, ale cziéj przëleca kukówka ze swojim chłopem kukôczem, té oni ni mielë chdze mieszkac. Oboje lecelë odnąd, donąd, tej sej sedlë na jaczis wietwie i sę jiscilë w swoji kukówczíny mowie: Czëc wcyg bëło: kukuk, kukuk ji kukuk. Oni mëslelë, że chto z lëdzy uczëje i mdze jich rôcził do se jak bocóna ji skórca, ale nicht z lë-

dzy jich wołaniégo nie czuł. Zôs oboje lecelë nad wsą, nad lasem, nad łąką.

Beł jastrowi poniedzôłk. Na miedzy sedzałë dwa zajce. Jeden z nich miôł skopicy miech bestrëch jajów, a drëdżi sedzôł ji malowôł jaja rozmajitima farbama, ji sę baro pospiéwôł. Tu przeleca kukówka z kukôczem ji długo, baro długo sę przëzéralë na zajiczëną robotę.

– Terô jô wiém, co zrobię – rzekła kukówka do chłopa – cziéj jinszi ptôchë nie mdą doma, téj jô zniosę w jich gniôzdach jaja i żebë te ptôchë nie poznałë, że to cëzé jaja, të je pomalëjesz tak, żebë one wëzdrza jak te jaja, chtërné mdą w gniôzdze.

Jak so udbalë tak i zrobilë, a sami mieszkalë w parowie na wësoczim i gęstim drzewicu. Cziéj dzôtczi kukówczi bëłë përznę wikszi, téj one wzę je do se.

Od nego czasu kôzdëchnô kukówka niese swoje jaja w cëdzéch gniôzdach.

Jerzy Samp

WOSK I CYNA

Nie uśpisz nocy
zatartej wśród śladów
co były tu jeszcze przed tobą
nie wyuczysz się jej na pamięć
choć księżyc układa się
zawsze tak samo
oszukanym blaskiem
na fałdach pościeli.

W jego cynowym odbiciu
czyjeś oczy
znów szukać będą źródła
aż je odnajdą.

Wasze ciała przybiorą barwę wosku
a ty wolna od tajemnicy
nawet rozkosz
z siebie zdejmiesz
na bezczas upojenia
aż się dopełni
zwyczajne misterium
krwi.

Wówczas tylko sobie podobna
uczłowieczysz
to miejsce
zwierciadlane.

Za późno odmawiać
zaklęta w kobietę
woskowa królewianko.

ARS MORIENDI

Jak zabić morskiego diabła
na brzegu wiecznej pogardy
gdzie nadzieja solą zastyga
a nagi łachman ciała
na zawsze porzuca każde
włókno pieśni siermiężnej

Nawiedzeni lękiem maszopi
zmylą los, zawrócą stalowe chmury
oszukają każdy sens udręczenia
zło na popiół spalą
i uwolnią rybacką arkadię
ogniem i martwą wodą

A siecią co wyłuskała skazańca
z morskiego bestiariusza złudzeń
nakrywać będą płomienie stosu
pod każdym znakiem zodiaku
i panowaniem – na wierność
cienia odwróconej kotwicy

I tak uśmiercą własną słabość
nie pragnąc już tonąć
w urojonej potędze cieczy –
w błazeńskim zwierciadle
demona, którego już nigdy
nie nazwiesz morzem.

Z NOCY LISTOPADOWEJ...

Czarną od wiatru
dłoń lipową
przenika gwóźdź i rdza
aż do kości prawego ramienia
krzyża –
niemego drogowskazu
dróg rozstajnych,
po których
pewnej nocy
listopadowej
ogłupiałe puszczyki
dogonić chciały
echo zatopionych w morzu
dzwonów.

Guczów Mack gôdô!

Gustk

W Mirchowie podle Buszné Grzëpë stoji nadleseństwo. Jednym z pierszech nadlesnech bël Grundus, wzérzny gospodôrz tak przë chëczach jak na polach. Przede wszëtczim miôł apartną dbałotę o lase, jaczi miôł pod swoją ogradzą. Podniósł na wëszawę lasową kulturę i dzęk jemu powstałë na dzëwotno snôżé lasowé drożëszcza, co na okalno i driwno prowadzą na przitczi wëszëńce grzëp i gór.

Grundus wedle lëdzczi gôdczi miôł bëc farmazonem i postacją-sobowtórem. Zamanówsze wëjéżdżôł do Gduńska na tajemną pozeńdę. A tej prawie ukazowôł sę jako postacjô swoji czeladzë: widzôł go bodej parobk w nocë, co prawie krôdł ówsk; widza go dzéwka w komorze, co chca so ucharłęzëc kąsk szpieku; ukôzôł so sąsadowi, co ob wieczórk pasł bëdło w jego smugu; widiwełë go knôpi, co czidelë jabłka w jego sadze abo łëzgelë groch na jego polu. Wëstraszeł wiele lëdzy, a ti zbôjelë sę pozdze charłęzëc i krasc.

Le jeden, Gustk, go ni miôł strachu. Sąsadowôł z nadleseństwem, miôł swoję chôtę, białkę i kozę. Bël to niewieldżi chłopulk, dosc zôrôdny i żorgôł, żebë bëło co jesc. Na sól, cëczerk i mëdełko so przëzarobił, ale wikszim dzélę nick nie robił, le charłęzeł, osoblëwie tej, czej farmazona nie bëło doma. Drewk, tëlu co spoleł, halôł so codzeń ob wieczórk z wieldżégo sztapla nadleseństwa.

Dzéwczi postrzegłë, że drzewo krëjamko dżinie i powiedzałë to swojému panu. A ten jim kôzôł podebrac sztapel tak, żebë sę całô grëpa zwalëła, czejbë tam chto jedno drewno chwôceł. Zrobiłë jak pón kôzôł.

Skorno sę dobrze zesmroczëło, z wieldżim trzôskem zwaleł sę sztapel. Grundus wëszedł na podtrapi i rzekł:

– Chto chce krasc, muszi to robic kąsk cëszi!

– Tak je, wasto nadlesny! Jawoll, tak je! Witerko jô taczégo trzôsku nie zrobię – i z bëlnym łónem drewk szedł so pomalinku na dół pod dodóm.

Poznelë po głosu Gustka, le czému ten lelek sę odzéwôł? Grundus sę rozesmiôł, pokręceł głową i szedł nazôd do jizbë.

Wszëtczim wej charłęznikóm jô radzę,
Przëznac sę głosno jak Gustk do kradzë.

Chcemë le so zażëc!

Odwdzęka

Darżnik Depta dozérôł sztremel szaségo od Srokojc do Gowidlëna. Ze szëplą w garzcë deptôł so odnąd donąd, abo stojôł so na jednym môlu i zamanówsze zdrzôł na swój zégark, co jesz gnieszni chodzeł jak on sóm. Czas mu nie chcôł nijak mijac, a ju o drëdżi po pôłni deptôł so pomalinku pod dodóm do Srokojc.

Nasz Depta, chocy nie kurzeł, le zażiwôł tobakę, miôł wiedno wiele ze sznëpą do uczinku: jedna minę a drëgô nasta. Tak rôz na zymku dostôł dëcht bëlną sznëpę, a kaszlôł i rzëpiôł na nym szasé, że go dalek i szërok bëło czëc. Przëtim miôł jesz gorączkę i takô słabota go narabcza, że ni mógł bëlno swoji szëplë w garzcë utrzëmac.

Tak rôz naparłęczeł sę mu bórkojc Wëszczërga. Jemu jak wszëtczim jinszim pojisceł sę Depta na swoję chorosc:

– Ani doktorzë ani lëpowô harbata nick nie pomôgô, ni mogę sę zmoknąc...

– Ko ma to je rada, jô cë doradzę. Të jes na tim szasé przezëbłi i môsz zazëbłą redz. Muszisz ję dobrze rozfrëszowac. Tejle wez so taczi kam od centnara, włożë go w miech i so go zadwignij na krzept i z nim nëkô wiedno drawo na nę grzëpę i nazôdka. Tę zôbież zrobië pińc razy i uzdrzisz, jak sę zmokniesz, a zawitrze będzesz zdrów jak rëba w wodze!

Wëszczërga stawił trafną diagnozę, le ta recepta...?! Minęło pół roku, czej pozdną jesenią wëchwiérony Depta uzdrzôł kol se Wëszczërgę. Bël wëbladłi, zmiarti i kraczeł sę jak na sztékach.

– Cëż të tak sztékujesz? Cëż cë je?

– Ko widzysz, Grzészk we mie je wlazłi i mie łómie w kolanach. Tak w se jô jesz jem dosc zdrów, le na te nodżi jô ni mogę...

– Ko na to je rada: weznij le so taczi kam od centnara, włożë go w miech i jen so zarzëcë na puczel, a tej z nim wiedno drawo na nę grzëpę i nazôdka. Za piątim razę sę bëlno zmokniesz i Grzészk cë z kolón wëléze!

Nie wëszczerzôj sę z lëdzy w chorobie,
Bo Grzészk z dôwna może sedzec w tobie.
Czej nie mdzesz go mógł ze se wënëkac,
Będzesz jak Depta so radë szëkac.
Chcemë le so zażëc!

Z kozłem na Hamster

U nas jak wszędzë dô kunsztownech i sztëcznech lëdzy. Taczim bël dłudżi Józk z Paczewa, chłopisko wësoczi jak dżiżanga a cenczi jak sztéka i kąsk uchëli. Skarnie miôł pomôrloné, uszë wialdżi i odewstałé, dólną lëpę kąsk zwisłą, nosësko gromisté, orzłowaté, stworzonè dëcht do zażiwaniô tobaczi. Buksëska, wëzdrzałë na jego cenëchnech goleniach jak taczi dwie zarëdzewiałé rurë, a obnoszałi żak wisôł na nim jak na strôszku w kapusce. Józk sę utcëwi robotë nie jimôł, le hamstrowôł. Jezdzeł regularno dwa razë na tidzeń do Gduńska i żël z hamsterstwa. Lëdôł so tej sej kąsk wëpic i często mógł jes go uzdrzec w karczmie u Koszôłczi w Srokojcach.

Bëło to we czwiôrtk kole wieczora, czej przez otemkłi dwiérze wnëkôł do karczmë Koszôłków kozeł i jął pôrzkac i bucac kogu le natrafił. A czej nen kozeł sę zapusceł na dwa dzewuse, co no wlazłë do karczmë, Józk go chwëceł za rodżi i przëtrzimôł. Omaklôł go po krzepce i rzekł:

– Je dëcht w szëku, za taczi miąsko bë dało we Gduńsku piękнego dëtuszka.

– Za wielgô kontrola je w Żukowie, żebës choc le fuńt mięsa przedostôł.

– Czej mie te kozła przedôsz, jô sę czëję całégo go przewiezc.

– Wez go, ale przëwiezë mie za nie pôrę bëlnech skorzni, abo dôsz sto marków.

Józk wzął kozła na powrózk i szedł z nim dodóm. Nie uszlachtowôł go, le jął go strojic: rodżi i kótë pomalowôł bronksem, do tëpë mu przërzeszeł kosziczk taczi, jak do kwiatów sëpaniô. Brodę i lica ufarbowôł mu na czôrno, lëpë i tëpę na czerwieno, a srąb na bestro. Włożeł na nie papierowé sodełko. Józk sę téż dzëwotno oblókł. Z tak usemietnionym kozłem jachôł so renëchno ze Srokojc do Gduńska, a kożdi, chto na Józka i kozła wezdrzôł, muszeł sę smiôc chocbë nie chcôł.

W Miechucënie banowi:

– Zwierzëce ni mają prawa jachac banem...

– To nie je zwiérz, le to je żëwô fabrika kawë!

W Żukowie Kontrola:

– Dokądka të z tim jedzesz?

– Ko do Gduńska do cyrku...

– To wëzdrzi wnetka jak kozeł...

– To nie je kozeł, le aptékôrz. On zbiérô zela i z nich pile krący. Chto nie wierzi, niech mu zazdrzi pod tëpę do kosziczka!

Tej sę rozesmielë, a Józk so jachôł z kozłem dali do Gduńska. Heneż u swojégo półbrata go uchajstnął, zjôdł z nie bëlną pieczeń, a négę rozprzedôł. Dostôł za nie dwasta marków i jesz pôrę bëlnech skorzen-kropówków.

Józk nasz wëszëkowôł choc kontrolę
I dëcht dobrze zagrôł swoję rolę.
Chcemë le so zażëc!

O otrębach i cëbulë

Niedługuszko czëtôł jem w cządniku „Plon", jak nichtos ganił mąkę, a zamôdlôł otrębë. Plestôł, że po biôłim chlebie, osoblëwie po pszénym, lëdze chërzeją na wrzodë żôłądka i dwanôstnicé. Radzeł lëdzom jôdac le dëcht prostowi chléb.

Kąsk prôwdë je w tim, że prostowi chlèb mô wikszą wôrtnotę kraftną jak biôłi, ale – dlô zdrów lëdzy. Czému to doktorzë przepisëją chorim na żôłądk le dëcht biôłi pszény chleb?

Ni po biôłim chlebie, le po czim jinym możesz dzys dostac wrzodë na żôłądku, jak na przëmiar przë czëtanim taczech trębarsznech artiklów. Możësz je dostac tèż po mące ze żëtka, co no na pegeerowszczech polach zamokło, zbutwiało i zmurszałé dostało sę do sëszarni, pozdze do mlinów, potému do piekarni, a na ostatku do żôłądka. Możesz je dostac téż od szitów i od biurokracji, ale nigdë od rżany czë pszény mączi z czëstégo i dozdrzeniałégo zbożégo sëcho zeżniwionègo.

Przë czëtanim tego articzelka przëbôczeł jem so gwësen zdarzënk, co mie tatk nierôz powiôdôł:

W Mirchowie bël przódë pocztowi ustarw, pozdze przeniosli do Kartuz. Héwoż ostatnym pocztowim ustarwnikem bël wasta Nowicczi, a jednym z obeńdowech pocztarzów Muzal, chłop jesz młodi, zacht przë se i sztëczny. Wiktowôł sę u Nowicczech.

Nowickô bëła dobrą kuchôrką, le kąsk skąpuchnô. Na wieczerzę dôwa colemało wiedno zagrzóné bulwë z cëbulą i szpiekem, a do te podstojałégo mlèka.

Obaji sedlë do wieczerzë. Nowicczi blôsnął na talerz i uzdrzôł le cëbulę, a szpieku le dëcht tam sam fëcuszk. Zrobiło mu sę kąsk jakos i jął skamżotę białczi zagadowac:

– Białka wié, że o ten szpiek jô nie dbaję, ale za to jô lëdaję mocko cëbulę...

– Tej ma so dwaji dëcht pasëjema. Jô o cëbulę nick nie stoję, ale zato jô mocko lubię szpiek – i jął odgarënac cëbulę Nowicczému a sobie przëgarënac wszëtek szpiek.

Witerko i powitrze Muzal zrobił to samo. Tej czwiôrtégo wieczora, nigle przëszedł Muzal, Nowicczi weszedł do kuchni i rzekł:

– Białko, z Muzalem w grëpie jô dłëdżi nie mdę jôdôł. Dej le kożdému apart swój dzél!

Otrębë so bierzta,
Cëbulę so wezta,
Czej tak mądri jesta
I tak baro mocko szmakô wama!
Le mąkę, szpiek ostawta tej nama!
Chcemë le so zażëc!

Recenzja

Miłość przypisana

Teresa Kantelecka

Wydawnictwo Morskie udostępniło czytelnikom następną książkę Jana Piepki pt.: „Komu przypisano miłość...". Treścią jej są przeżycia mieszkańców kaszubskiej wioski ukazane oczami młodej dziewczyny Teresy. Mimo, że pracuje ona w wiejskim sklepie, bo nauka ciężko jej szła, dostrzega wiele interesujących spraw ze swojego środowiska. Nie są to częstokroć zjawiska banalne, jak można by się spodziewać znając umysłowość dziewczyny. Pierwszy, to konflikt między jej ojcem a stryjem, który korzeniami sięga okresu wojny i okupacji. Autor stara się zwrócić uwagę czytelnika na aktualność antagonizmów wojennych. Franciszek Muza gotów jest zabić swojego brata, który chce emigrować do Niemiec. Dużą rolę odgrywa w konflikcie miłość do ziemi pradziadów i odwieczna nienawiść do Niemców. Teresa nie wnika w istotę sporu, instynktownie, kierując się więzami rodzinnymi popiera stanowisko ojca. Problematyka ta jest dość obszernie prezentowana przez literaturę wybrzeżową i nie tylko. S. Żeromski w „Wietrze od morza" próbował wniknąć w istotę antagonizmów między Kaszubami i Niemcami. Po wojnie konflikt ten ukazywali w swojej twórczości A. Necel, S. Fleszarowa-Muskat, i inni. Różne w ich książkach są źródła konfliktów, różna jest jego dynamika, niezmienny pozostaje jedynie fakt jego istnienia.

Czytając powieść Jana Piepki odczuwa się pewne niedomówienia właśnie w tej kwestii. Nie jest to na tyle zamknięta sprawa, aby traktować ją powierzchownie. Wniosek, jaki nasuwa się podczas czytania, to fakt, iż młodych ludzi sprawy te nie dotyczą, nie interesują się nimi. Nawet jeżeli bezpośrednio dotykają ich rodziców, dla nich są jedynie książkową historią. Na pytanie dlaczego tak się dzieje? — autor nie daje odpowiedzi.

Następną, mocno niedomówioną w książce sprawą, jest migracja młodzieży wiejskiej do pracy w stoczni gdańskiej. W szpitalu Teresa wspomina pożar na statku Konopnicka, który zabrał jej znajomych i jej miłość — Tadeusza.

Bardzo starannie i nawet drobiazgowo przedstawił autor pracę w wiejskim sklepie. Jej monotonii nie przerywają ułamkowe obserwacje kupujących ludzi. Krótka charakterystyka mieszkańców wsi nie wprowadza ożywienia w jednostajny pejzaż nudy, jaki snuje się nad kaszubską wioską.

Istotną kwestią, zasygnalizowaną w powieści, jest koegzystencja zasiedziałych Kaszubów i nowych, którzy przybyli na Pomorze wraz z powojenną wędrówką ludów w Polsce.

Tak wiele nierozwiązanych, a niewątpliwie istotnych dla współczesnego oblicza wsi kaszubskiej spraw wynika z punktu widzenia, jaki przyjął autor. Słuszny to odnośnik jeżeli chodzi o powieść będącą romansem, ale autor zdaje się stawiać przed swoją twórczością daleko ambitniejsze cele. Postawiony jednak a priori narrator o określonym światopoglądzie, choć trafniejsze jest twierdzenie, że Teresa to osobowość dopiero kształtująca się, szukająca swojego miejsca w społeczeństwie, ogranicza możliwości autora. Chcąc ukazać psychologiczny portret dziewczyny, która poznaje czym jest miłość, zubaża obraz całości na który oczekuje czytelnik. Wątpliwości budzi celowość przytaczania jałowego i sztucznego dialogu młodych ludzi, z których dziewczynie zdaje się, że mówi słowami miłości.

„— Jeszcze nie, jeszcze trochę, ale nie będziesz się śmiał? — spytała z niepokojem. — Nie będziesz?

— Nie będę, przysięgam.

Stali w miejscu, skąd ona jeszcze mogła uchować tamto swoje. On powiedział:

— Chciałaś tu przyjść. Ze mną.

— Tak.

— Tereso — mówił. — Nie wiedziałem, że jesteś taką romantyczną dziewczyną!"

„— Nie będziesz się śmiał?

— Dlaczego miałbym?

— Bo nigdy tu nie było ciebie.

— Mam odejść?"

Współczesna młodzież trochę inaczej niż bohaterowie układa liryczne rozmowy.

Istotna jest również sprawa odbiorcy. Wydaje się, że autor nie miał wyraźnie sprecyzowanego obrazu czytelnika, do którego się zwraca. Jeżeli miała być to młodzież, to miłość, jej konflikt, tchnie dziewiętnastowiecznym drobnomieszczaństwem a nie współczesnością. Uderza duża naiwność w przedstawianiu odczuć dziewczyny, sztuczna fascynacja oraz ucieczka w liryzm. Dla dojrzałego czytelnika, jak już wspomniałam, wiele istotnych spraw zostało jedynie zasygnalizowanych. Nie wchodzi w grę dopowiedzenie ich sobie samemu. Nie każdy czytelnik orientuje się w stopniu dobrym jeżeli chodzi o sprawy kaszubszczyzny. Mówienie i pisanie o tych zagadnieniach nigdy nie przestanie być potrzebne, nigdy nie będzie kwestią zamkniętą. Nie wystarczy jednak sygnalizowanie pewnej grupy problemów.

Słusznym wydaje się zabieg wprowadzenia do utworu mowy Kaszubów.

„— Czemu? — zdziwiła się Muzowa. — A chto to widzioł, żeby gapom dawac to, czego człowiekowi nie chce starczes? To je grzech! Ona je pomylono, ta staro."

Niekonieczne natomiast wydaje mi się tłumaczenie łatwych wyrażeń niemieckich wtrącanych do wypowiedzi bohaterów. Te popularne zwroty są komunikatywne w brzmieniu oryginalnym.

„...Sadnij, „mein lieber Mann" i powiadoj, co je w Kleindorfie nowego?

Bizewski wtrącał w mowie słowa niemieckie, miał powiedzenie, które znaczyło tyle, co „mój drogi chłopie..."

Powieść Jana Piepki poprzez swoją mozaikową strukturę trudna jest do jednoznacznego określenia. Nie jest to romans, choć za tym przemawia tytuł, ani powieść społeczna przedstawiająca pejzaż współczesnej wsi kaszubskiej, bo jest w niej zbyt wiele znaków zapytania, na które trudno czytelnikowi odpowiedzieć. Problematyka, mierzona ambicjami autora, daje się tylko w kilku miejscach zauważyć, a szkoda, bo temat wart jest wnikliwego opracowania, na które z pewnością czeka odbiorca.

Jan Piepka, Komu przypisano miłość. Gdańsk 1976, Wydawnictwo Morskie.

O pomorskich nazwach geograficznych zakończonych przyrostkiem -owo

Recenzja

Edward Breza

W lipcu 1976 r. prasę drukarską opuściła praca U. Kęsikowej zatytułowana „Nazwy geograficzne Pomorza Gdańskiego z sufiksem –ov–". Jest to nr 2 serii Pomorskie Monografie Topononastyczne, w jakiej GTN i Wydawnictwo Ossolineum zapoczątkowały wydawanie prac poświęconych nazwom geograficznym Pomorza. Monografie przygotowywane są przez pracowników Zespołu Onomastycznego Uniwersytetu Gdańskiego, którym kieruje prof. dr hab. Hubert Górnowicz. Przypomnę, że jako nr 1 omawianej serii ukazała się „Toponimia powiatu kościerskiego" niżej podpisanego; recenzja tej pracy pióra Z. Brockiego ukazała się także w „Pomeranii" r. 1975, nr 4.

Dwa te numery serii prezentują odrębny charakter prac, jakie ukazały się i ukazywać się będą. Nr 1 serii poświęcony był niewielkiemu obszarowi Pomorza Gdańskiego i stanowi typ pracy monograficznej regionalnej; praca, którą niżej omówię, roztrząsa nazwy geograficzne zakończone jednym przyrostkiem z całego Pomorza Gdańskiej, ściślej z dawnego woj. gdańskiego (praca ukończona została w r. 1972, dlatego zastosowany został w niej obowiązujący wówczas podział administracyjny) z dodaniem trzech powiatów woj. bydgoskiego: chojnickiego, tucholskiego i świeckiego. Do rozważań nie weszły 3 powiaty prawobrzeżne: malborski, kwidzyński i sztumski, należące obecnie do woj. elbląskiego. Praca Kęsikowej stanowi typ monografii strukturalnej. Informuję, że numer 3 serii stanowić będzie „Toponimia ziemi puckiej" J. Tredera, przewidziana w planach wydawniczych GTN i Ossolineum na rok 1977.

Nazwy pomorskie znamienne są przyrostkiem *-owo*. Uderza to każdego. Struktura ta stała się przedmiotem szczególnego zainteresowania autorki omawianej pracy (Takież nazwy z Wielkopolski i Małopolski opracował F. Nieckula, onomasta z Wrocławia, praca jego ukazała się w r. 1971). U. Kęsikowa przebadała 1080 nazw, w tym nie tylko nazwy miast, wsi i przysiółków, zwanych na Pomorzu wybudowaniami, ale także tzw. mikrotoponimię, tj. nazwy terenowe lądowe (pola, łąki, lasy, góry) i nazwy terenowe wodne (jeziora, rzeki, stawy i bagna). Z omawianej struktury nie znalazły się tu ani żadna nazwa dołu i dolin, ani żadna nazwa toni rybackiej. Autorka zdołała zgromadzić te nazwy z wydanych dokumentów od XII w. po w. XX. Wyzyskała mapy, spisy miejscowości i materiały zgromadzone w pracach magisterskich, wykonanych w byłej WSP pod kierunkiem H. Górnowicza i B. Moronia.

Przyrostek *-owo* występuje też w rodz. męskim na *-ów* bądź też *-ew*. To zakończenie właściwe jest tylko nazwom starych grodów, występuje nieprzerwanie w nazwach *Tczew* i *Gniew*. W nazwie *Skarszewy*, ujawnionej dopiero w XV w. jako *Skarszewo*, nie pojawił się sufiks *-ew* prawdopodobnie dlatego, że wcześniej zapisaną nazwą było niemieckie *Schöneck*. Rodzaj żeński na *-owa* bądź *-ewa* utrzymał się od początku, tj. od w. XII po dziś w nazwie *St. Kiszewa* w Kościerskiem. W nazwach *Cisowa* i *Mechowa* rodzaj żeński jest wtórny, pierwotnie było tu *-owo*.

W nauce dyskutowany był problem przyrostka *-owy* w wielu nazwach pomorskich. Autorka zebrała 43 takie nazwy (nie licząc późnych XX-wiecznych nazw terenowych, szczególnie pól). Na podstawie wnikliwej analizy zapisów zdołała ustalić, że przyrostek *-owy* jest późny, najwcześniej pojawił się w XVI w. Wcześniej współczesne nazwy na *-owy* kończyły się na *-owo*, a więc np. *Borzyszkowo, Czyczkowo, Jaroszewo, Kokoszkowo, Tuszkowo* itp.

Tak więc formant *-owo* w rodz. nijakim jest dominującym zakończeniem nazw na *-ov–*. Stwierdzamy go w nazwach genetycznie niemieckich, które przystosowały się do polszczyzny fonetycznie właśnie przez przybranie wygłosowego *-owo*, np. *Brukniewo* w Tucholskiem z *Brückenau*, *Fletnowo* w Świeckiem od *Flötenau*, *Lędowo* w Gdańskiem z *Landau*. Przyrostek ten wyzyskiwano też w polszczeniu niemieckich nazw złożonych, w których *-owo* oddawało drugi człon nazwy. Tu należą np. *Malinowo* z *Amalienhof*, *Egiertowo* z *Eggershütte*, *Orłowo* z *Adlershorst*, *Wróblewo* z *Sperlingshof* itd. Produktywność przyrostka *-owo* znalazła szczególny wyraz w tworzeniu nazw żartobliwych od podstaw czasownikowych typu *Gwizdowo: gwizdać, Dmuchowo: dmuchać, Grajewo: grać, Klaklewo: klaklać* (onomatopeja), *Szturowo: szturać, Wyspowo: wyspać* się; w sumie jest takich nazw 48. Pochodzący z początku XV w. przysiółek w Wejherowskiem *Jęczewo*, który nazwę swą zawdzięcza imieniu *Hinz* z niemieckiego *Heinz* stał się podstawą do utworzenia nazwy *Płaczewo* na pobliski przysiółek wskutek skojarzenia nazwy *Jęczewo* z czasownikiem *jęczeć*.

Tworzenie nazw z omawianym przyrostkiem od czasowników jest jednak zjawiskiem marginesowym. Zasadniczo łączył się on z rzeczownikami. W charakterze rzeczowników wystąpiły przede wszystkim imiona właścicieli, tworząc tzw. nazwy dzierżawcze typu *Będargowo, Godziszewo, Borzechowo, Mirachowo, Sławutowo*. Takich nazw jest najwięcej, bo aż 571, co stanowi prawie 53 proc. Na drugim miejscu stoją tzw. nazwy topograficzne, czyli takie, które wskazują na ukształtowanie terenu, np. *Bagniewo, Łęgowo, Pręgowo*, świat roślinny, np. *Bobowo, Borowo, Dębowo, Grabowo Orzechowo*, świat zwierzęcy, np. *Bobrowo, Kaczewo, Mrówkowo, Ptaszewo, Wiewiórkowo* – jest ich razem 220, co stanowi 20,3 proc.

Wielu ludzi interesuje pochodzenie nazw miejscowości, w których mieszkają lub z którymi się stykają. W tym zakresie ciekawość mogą doskonale zaspokoić przez wyzyskanie pracy Kęsikowej. Dowiedzą się, że nazwa *Tczewa* związana jest z *trzciną*, *Gniewa* z bazą *gnić*, *Gnieżdżewo* pod Puckiem to dawne *Gniazdowo*, *Jabłowo* w Starogardzkiem to pierwotne *Gawłowo* itd. Poznają, że wiele współczesnych wsi miało dawniej inną nazwę, np. *Przodkowo* – nazwę pruską *Metkaym*, *Klukowo* w Kartuskiem *Golostowo*, wiele wsi zaginęło. Szkoda, że autorka tych ostatnich nie zebrała w osobnym akapicie. Dodajmy, że ustalenie pochodzenia wielu nazw utrudniały nieudolne średniowieczne zapisy, często sporządzane przez Niemców. Dlatego liczyć się trzeba było z wpływami niemczyzny. Na formę nazw pomorskich wpływały też dialekty: kaszubski, kociewski i borowiacki; i te wpływy oraz związki trzeba było wydobyć. Autorka wyszła z tych trudności obronną ręką. Z niektórymi etymologiami autorki można mimo wszystko dyskutować, ale to może już wśród wąskiego grona specjalistów.

Po książkę Kęsikowej sięgną nie tylko językoznawcy onomaści, ale także historycy i geografowie. Wiele pożytku odniosą z posiadania jej we własnym księgozbiorze wszyscy, którzy interesują się ziemią pomorską.

LEKTURY

HISTORIA POMORZA. T. II do roku 1815 pod redakcją i ze wstępem Gerarda Labudy. Opracowali: Marian Biskup, Maria Bogucka, Antoni Mączak i Bogdan Wachowiak. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1976, s. 1100, ilustr. + mapy na wklejkach, cena 220 zł. Kolejna część wielkiej syntezy dziejów pomorskich, opracowana przez wybitnych specjalistów. Szczegółowo przedstawiono dzieje Pomorza Wschodniego w schyłkowej epoce feudalizmu (1466—1815) i Pomorza Zachodniego w tej samej epoce (1464—1815). Nakład niski, wynosi on zaledwie 4 tys. egzemplarzy, więc trzeba szybko nabyć to znakomite dzieło.

ARS HISTORICA. Prace z dziejów powszechnych i Polski. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, seria Historia nr 71. Poznań 1976, s. 790, ilustr., cena 216 zł. Księga pamiątkowa, dedykowana wybitnemu polskiemu historykowi, prof. Gerardowi Labudzie, w 60-lecie Jego urodzin. Oprócz przedmowy rektora UAM prof. Benono Miśkiewicza i bibliografii prac prof. Labudy, zestawionej przez Jerzego Strzelczyka, oryginalne studia zamieszczają liczni historycy. Z wielu studiów godzi się wymienić chociażby: A. Gieysztora „Sprawca piorunów w mitologii słowiańskiej", K. Jasińskiego „Podłoże polityczne pomorsko - śląskich koligacji dynastycznych w latach 1316-1325/1328", E. Cieślaka „Gotfryd Lengnich a walki polityczne w Gdańsku w połowie XVIII wieku", S. Gierszewskiego „Wpływ wojny szwedzko - rosyjskiej 1788—1790 na sytuację w portach pomorskich", P. Hausera „Stosunki narodowościowe i wyznaniowe w diecezji chełmińskiej w latach 1920—1925".

STUDIA I MATERIAŁY DO DZIEJÓW WIELKOPOLSKI I POMORZA. Polskie Towarzystwo Historyczne, Oddział w Poznaniu. T. XII, z. 1, Warszawa — Poznań 1976, s. 200, cena 48 zł. Redaktor: Zdzisław Kaczmarczyk. Zeszyt dedykowany prof. Gerardowi Labudzie w 40-lecie pracy naukowej. Andrzej Wędzki pisze o „Przebiegu reformy miejskiej na Pomorzu Gdańskim do początku XIV wieku", a Zygmunt Szultka — o „Strukturze społeczno - zawodowej obywateli Słupska w latach 1746—1808". Poza tym inne wartościowe publikacje.

LECH BĄDKOWSKI: Odwrócona kotwica. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Gdańsk 1976, s. 244, ilustr., cena 28 zł. Zbiór szkiców historyczno - literackich, których tematem jest historia średniowieczna Pomorza Gdańskiego. Napisane żywo, po części polemicznie, stanowią interesującą, aczkolwiek kontrowersyjną lekturę. Znakomicie przybliżają nam dzieje pomorskie od samych źródeł czasowych.

EDMUND PUZDROWSKI: Przyszedłem wypełnić... Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 128, cena 12 zł. Zbiór wierszy częściowo już publikowanych, częściowo zupełnie nowych, w tym dwa poematy, m. in. „Lodowa gwiazda Jezior Raduńskich". Tematem lub motywem poezji Puzdrowskiego są rodzinne Kaszuby.

BOLESŁAW FAC: Na pamięć. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1976, s. 216, cena 20 zł. Nowa powieść gdańskiego pisarza, której akcja osadzona jest w realiach Pomorza i Gdańska. Interesująca fabuła, pasjonująca lektura.

JÓZEF WÓJCICKI: Wolne Miasto Gdańsk 1920—1939, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976, s. 356, cena 35 zł. Popularny zarys historii stosunków politycznych między Wolnym Miastem Gdańskiem i Polską, ujętych na szerokim tle międzynarodowym.

INFORMATOR. Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko - Pomorskiej, Wejherowo 1976, s. 84, ilustr. Cieszy wznowienie „Informatora" i zapowiedź regularnego wydawania go w formie rocznika. W aktualnym tomie umieszczono: sprawozdanie Krystyny Makowskiej „7-letnia działalność Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko - Pomorskiej w Wejherowie (1968—1975)" oraz artykuły: Edmunda Kamińskiego „Aleksander Janta-Połczyński (Podróżnik, poeta, prozaik)", Pawła Szefki „Pieśni, podania i legendy mówią o dawnych instrumentach muzycznych na Kaszubach", Janiny Cherek „Zmora w ludowych wierzeniach Pomorza Wschodniego" i „Wykaz ofiarodawców", zestawiony przez Helenę Barsowską.

EDMUND KAMIŃSKI: Aleksander Janta-Połczyński (Podróżnik, poeta i prozaik). Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko - Pomorskiej, Wejherowo 1976, s. 36, ilustr. Nadbitka publikacji biograficznej i bibliograficznej z „Informatora", wydana na czerpanym papierze w 100 egzemplarzach. Pierwsza tego typu dokumentacyjna praca o starym rodzie pomorskim, liczącym sobie z górą 700 lat. Wydno ją w związku z otwarciem w Wejherowie wystawy poświęconej Janta-Połczyńskim. Praca wartościowa.

ZAPISKI HISTORYCZNE poświęcone historii Pomorza i krajów bałtyckich. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Wydził Nauk Historycznych. T. XLI, r. 1976, z. 2, s. 200; z. 3, s. 212; z. 4, s. 192. Cena zeszytu 30 złotych. Redaktor: Marian Biskup. W zeszycie 2 opublikowano m. in. artykuły: Bogusław Wachowiak — „Stan i potrzeby badań nad dziejami Pomorza Zachodniego w XVI—XVIII wieku", Mieczysław Widernik — „Gdynia — czynnik integracji Pomorza Gdańskiego z pozostałymi ziemiami polskimi w latach 1920—1939", Ryszard Kozłowski — „Z przemian ludnościowych w woj. bydgoskim (pomorskim) w latach 1945—1948 (cz. I)". Część II umieszczono w z. 4. Cenna jest Henryka Baranowskiego „Bibliografia historii Pomorza Wschodniego i Zachodniego oraz krajów regionu Bałtyku za rok 1974". Trzeci zeszyt dedykowano prof. Leonidowi Żytkowiczowi w 65-lecie urodzin. Zawiera on m. in. znakomity artykuł Kazimierza Jasińskiego „Zburzenie miasta Gdańska przez zakon krzyżacki w 1308 roku", poza tym Zenona Guldona „Organizacja bractw szyprów, sterników i mierników zbożowych w Polsce północnej w XVI—XVII wieku" i Jerzego Dygały „Wielkie miasta Prus Królewskich wobec reformy menniczej z lat 1765—1766". W zeszycie 4 warto przestudiować: Edwarda Rymara „Wartizlaus Zlauinie". Przyczynek do rodowodu książąt zachodniopomorskich w XII wieku", Benedykta Zientary „Sprawy pruskie w polityce Henryka Brodatego", Jana Powierskiego „Uwagi o starożytnych dziejach ziem pruskich".

EUGENIUSZ KOCZOROWSKI: Bitwa pod Oliwą. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1976, s. 192, cena 50 zł. Albumowe wydanie popularnie opracowanej historii bitwy pod Oliwą 1628 roku. Liczne, bardzo dobre ilustracje.

(T. Bol.)

K L E K A

GMINNY OŚRODEK KULTURY IM. H. DERDOWSKIEGO

23 października 1976 r. w Wielu uroczyście otwarto Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji, który pełnić będzie funkcję ośrodka koordynującego działalność wszystkich klubów i świetlic w gminie Karsin. Ośrodek otrzymał imię poety urodzonego w Wielu – Hieronima Derdowskiego.

Mieszkańcy Wiela zbudowali swój dom kultury w czynie społecznym, co kosztowało niemało trudu, starań i pieniędzy. Budowa trwała aż 5 lat. Społecznemu komitetowi budowy niestrudzenie od początku przewodniczył **EDMUND KONKOLEWSKI.** Ambitne zadanie udało się dokończyć dzięki pomocy uzyskanej z przedsiębiorstw i instytucji, które mają w Wielu swoje ośrodki wczasowe. Najpoważniejszą dotacją (600 tys. zł) wspomógł budowę gdański „Elmor", ale nie odmówiły swego udziału również Stocznia Północna, Hydrobudowa Gdańsk oraz Fundusz Wczasów Pracowniczych i spółdzielnia „Turysta", a z miejscowych instytucji Kółko Rolnicze w Wielu.

Już zanim dom kultury został przekazany do użytku odbyło się w nim szereg imprez, m. in. zakończenie konkursu Młode Talenty 76. Można się więc spodziewać, że będzie to aktywny, żywy ośrodek. Taką nadzieję dają też bogate tradycje pracy kulturalnej tej sławnej wsi. Warunki do pracy są dobre: sala widowiskowa (350 miejsc) z obszerną sceną i zapleczem, biuro, dwa pokoje do pracy klubowej i prób, kawiarnia prowadzona przez „Ruch" Starogard, biblioteka z czytelnią. W bezpośrednim sąsiedztwie domu kultury zbudowane zostaną urządzenia sportowe i tereny wypoczynkowe.

Otwarcia w obecności licznych gości dokonał naczelnik gminy Karsin, **FRANCISZEK STUDZIŃSKI.** Wystąpiła z tej okazji młodzież ze Szkoły Podstawowej im. W. Rogali w Wielu z słowno-muzycznym programem regionalnym oraz zespół pieśni i tańca **„KASZUBY"** z Karsina. **(ko)**

ZJAZD TWÓRCÓW LUDOWYCH Z GDAŃSKA

W listopadzie ub. r. w Domu Kultury w Rumi zebrali się twórcy ludowi woj. gdańskiego na swoje doroczne spotkanie. O dokonaniach i zamierzeniach w dziedzinie twórczości ludowej mówiła opiekunka twórców z Kaszub i Kociewia mgr **STEFANIA LISZKOWSKA-SKUROWA** z WOK. Główny referat wygłosił dr **JÓZEF BORZYSZKOWSKI,** który mówił o społecznych obowiązkach ludowego artysty i jego roli we własnym środowisku.

29 artystów otrzymało nagrody pieniężne. Oprawę zjazdu stanowiła wystawa haftów, rzeźb, obrazów malowanych na szkle, plecionek oraz występ kaszubskiego zespołu wokalno-muzycznego **„KOLECZKOWIANIE".**

(wj)

RYSZARD CIEMIŃSKI W RADIU

Tematem audycji, w dniu 4. 11. ub. roku, z cyklu: Z PIERWSZEJ RĘKI był wydany w LSW zbiór reportaży „kaszubskich" Ryszarda Ciemińskiego pt. „Od północnej strony". W audycji przygotowanej przez **WANDĘ JACKOWSKĄ** z Redakcji Prozy i Poezji znalazły się fragmenty książki oraz rozmowa, w której udział wzięli: **KRZYSZTOF KĄKOLEWSKI, MAREK ARPAD KOWALSKI** i **RYSZARD CIEMIŃSKI.**

(wj)

KSIĘGA JÓZEFA TRZEBIATOWSKIEGO

Niedaleko Leśna leży mała wieś Wysoka Zaborska. Dzisiaj wieś zamieszkuje 8 rodzin: trzy rodziny Trzebiatowskich, dwie Majkowskich, Hoppowie, Dargasowie i Piekarscy. Historię tej wsi opisał interesująco na łamach „Gazety Pomorskiej (nr 271 z 28 XI 76 r.) w artykule „W puszczy" **KAZIMIERZ OSTROWSKI.** Redaktor Ostrowski podaje, że dzieje Wysokiej na przestrzeni ponad dwóch wieków skrzętnie spisał i wciąż spisuje gospodarz **JÓZEF TRZEBIATOWSKI.** „W osobliwej księdze – pisze K. Ostrowski – znaleźć można takie bogactwo szczegółowej wiedzy o każdym rodzie, a każdym kolejnym pokoleniu, o losach pojedynczych osób, że jest to jedyny w swoim rodzaju dokument. Drobiazgowo zanotowane zostały wszystkie ożenki, narodziny i zgony z dokładnymi datami, nawiedzające wieś pożary, lata nieurodzaju, wszystkie zmiany i migracje. Od ponad czterdziestu lat dokładne obserwacje meteorologiczne, także plony wszystkich upraw. Wielka epopeja maleńkiej kaszubskiej wioski: zarazem kronika życia i obyczaju, świadectwo nieprzerwanej tradycji i współczesnych przemian społecznych. Jest na wpół legendarna opowieść o tym, jak przed z górą stu laty jeden z właścicieli, zamroczony winem, wespół z dziedzicem Lewald – Jezierskim z Leśna sypał nowe kopce graniczne i tym sposobem wieś zmniejszyła o połowę stan posiadania. Jest także wiadomość, kiedy utopiono w studni ostatniego w tej okolicy wilka, a było to zgoła niedawno".

Oby więcej takich ksiąg prawdy. **Redakcja prosi o informacje o ludziach, którzy prowadzą sami lub są w posiadaniu interesujących zapisów.**

(wk)

PIERWSZE NAGRODY DLA RZEPY I GIEŁDONA

W 1975 r. doroczny gdański konkurs na prace twórców ludowych poświęcony był wyłącznie haftom, w 1976 r. tematem głównym była rzeźba, pobocznym – plecionkarstwo, róg, tkactwo. Do udziału w konkursie zgłosiło się ponad 50 autorów, którzy przysłali blisko 300 prac. W grudniu 1976 r. konkurs ten, zorganizowany przez Wojewódzki Ośrodek Kultury i „Artregion" sopocki, w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz „Cepelią" w Warszawie został rozstrzygnięty. A oto jak jury, pod przewodnictwem mgr. **WOJCIECHA BŁASZKOWSKIEGO,** rozdzieliło nagrody i wyróżnienia, których suma wyniosła 50 tys. zł.:

W dziedzinie rzeźby dwie I nagrody zdobyli **IZAJASZ RZEPA** z Redy i **JAN GIEŁDON** z Czarnej Wody za wszystkie nadesłane prace; nagrody II – **JÓZEF CIĘŻKI** z Kościerzyny, **WŁADYSŁAW LICA** z Wdzydz Tucholskich i **EDMUND ZIELIŃSKI** z Gdyni; nagrody III – **MAKSYMILIAN KNUT** z Wdzydz Kiszewskich, **WŁADYSŁAW SZULC** z Kościerzyny, **ALFRED LUBOCKI** z Lęborka, **RAJMUND ZIELIŃSKI** ze Zblewa i **TEODOR KAŁUSKI** z Małego Krówna. Ponadto przyznane zostały wyróżnienia pierwszego stopnia: **ALOJZEMU STAWOWEMU** z Bietowa, **ZBIGNIEWOWI STANKIEWICZOWI** i **HENRYKOWI HEWELTOWI** z Gdyni oraz **ADAMOWI ZWOLAKIEWICZOWI** z Kościerzyny i wyróżnienia drugiego stopnia: **MIECZYSŁAWOWI CIESZYŃSKIEMU** z Wieprznicy oraz **MIECZYSŁAWOWI MODZELEWSKIEMU** z Choczewa. **ALOJZY STAWOWY** z Bietowa dostał także I nagrodę za dziedzinę, którą tylko on zaprezentował – naczynia i sztućce wykonane z drewna.

W tkactwie, w którym zabrakło konkurencji, jedyną a zarazem pierwszą nagrodę jury przyznało **BRONISŁAWIE RADTKE** z Żelistrzewa; podobna sytuacja była w dziedzinie rogu, w której laureatem I nagrody został **HENRYK PETKE** z Sierakowic. W plecionkarstwie najwyższą ocenę i I nagrodę zyskały prace **BOLESŁAWA HINCA** z Wdzydz Kiszewskich, natomiast wyróżnienie pierwszego stopnia przypadło **MARII HINC** z tejże wsi. Wyróżnieniami drugiego stopnia zostały uhonorowane plecionki: **ALBERTA SPEISERA** z Motarzyna, **ALFREDA LUBOCKIEGO** z Lęborka, **JÓZEFA WIŚNIEWSKIEGO** z Wdzydz Kiszewskich i **JANA GIEŁDONA** z Czarnej Wody. Poza tymi dyscyplinami dwa wyróżnienia uzyskali także: **BERNARD KRÓL** z Kartuz za gliniane ptaszki-gwizdki (I stopnia) i **HENRYK WENTA** z Sianowa-Kolonii – za intarsje pt. „Przebierańcy" (II stopnia). **(tr)**

MUZEUM ZACHODNIO-KASZUBSKIE

Odbudowa zamku pokrzyżackiego w Bytowie trwa tak długo, że trudno przyrównać ją do innej budowy. Dosyć swobodnie natomiast gospodarze Bytowa ogłaszali uruchomienie kolejnych placówek-instytucji w częściowo odrestaurowanym zamku. Prasa i telewizja donosiła niejednokrotnie o odbudowanym zamku. Niestety prace jeszcze trwają.

Cztery lata temu powołano do życia **MUZEUM ZACHODNIO-KASZUBSKIE.** Okazuje się, że muzeum to, którego potrzebę tuż po wojnie głosiła niezapomniana prof. Bożena Stelmachowska, działa przez cztery lata w warunkach bardzo uciążliwej prowizorki. Posiada jedną salę wystawową i maleńki pokój administracyjny, zresztą gościnnie udostępnione przez bibliotekę miejską. Niestety, nic nie zapowiada szybkiej zmiany sytuacji, gdyż nie widać końca odbudowy przydzielonego skrzydła zamku i wież. W tej materii nie chcielibyśmy mieć racji.

(wj)

SKARB W TCZEWIE

Rewelację ubiegłorocznego sezonu wykopaliskowego stanowiło odkrycie, w czasie robót ziemnych prowadzonych w Tczewie-Suchostrzygach, dużego skarbu liczącego 919 monet srebrnych z II poł. XVII i pocz. XVIII w. W jego skład wchodzą tynfy i szóstaki z czasów panowania Jana Kazimierza i Jana III Sobieskiego. Skarb wzbogacił zbiory Muzeum Archeologicznego w Gdańsku. **(wj)**

DOROCZNE NAGRODY GTN

Zarząd Gdańskiego Towarzystwa Naukowego przyznał młodym badaczom nagrody za wyróżniające się prace naukowe. Wśród wyróżnionych są dr **BRUNON SYNAK,** pracownik Zakładu Socjologii Inst. Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Gdańskiego; autor pracy pt. „Problemy starych rolników na przykładzie byłego województwa gdańskiego" oraz dr **JAN DRWAL** z wydz. Biologii i Nauk o Ziemi UG, za pracę pt. „Obszary bezodpływowe centralnej części Pojezierza Kaszubskiego". (wj)

Pomnik Aleksandra Majkowskiego (projekt Wawrzyńca Sampa) w Kościerzynie. Fot. Z. Kosycarz

Z ŻYCIA ZRZESZENIA

KASZUBY W PRACACH UCZNIÓW LICEUM ORŁOWSKIEGO

20 listopada 1976 r. zakończony został konkurs zorganizowany wspólnie przez Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Liceum Sztuk Plastycznych w Orłowie. Konkurs ten trwał całe wakacje, jego przedmiotem były bowiem prace wakacyjne uczennic i uczniów, tematem — Kaszuby. W praktyce było więc i tak, że uczniowie pochodzący z wiosek i miast kaszubskich zapraszali do siebie w okresie lata kolegów na wspólne prywatne plenery.

Konkurs dał wyniki nadspodziewanie bogate i ciekawe. Ze zgłoszonych przez młodzież prac jury wybrało na wystawę 30 obrazów olejnych, 15 fotogramów kolorowych, 15 obrazków malowanych na szkle i 4 rzeźby w drewnie. Spośród ok. 50 uczestników konkursu nagrodami w postaci wydawnictw z zakresu sztuki, ufundowanymi przez Oddział Gdański ZK-P zostało wyróżnionych 12 osób. W dziedzinie malarstwa olejnego nagrody otrzymali: **MAŁGORZATA TOKARZ** z Rumi, **ANDRZEJ SZADKOWSKI** z Lęborka, **STEFANIA BOLIN** z Banina, **STANISŁAW CECHOSZ** z Bolszewa oraz **BARBARA KALAMON, RYSZARD MACIEJEWSKI** i **JAN PRZECHLEWSKI** z Trójmiasta. W malarstwie na szkle nagrody zdobyli **ANITA KUCWAJ** i **ANDRZEJ ŻYNDA,** w kolorowej fotografii — **BOGDAN KIZŁO** i **BOGUMIŁA NAWORSKA,** a w rzeźbie — **JAN ŻABIŃSKI** z Karsina. Dziesięciu dalszych młodych plastyków otrzymało, w formie wyróżnień, wydawnictwa ZK-P.

Komisarzem, zarówno z ramienia szkoły jak Zrzeszenia, tak konkursu jak wystawy, był artysta rzeźbiarz **GERARD DZIECIELSKI,** któremu w rozpropagowaniu imprezy wśród młodzieży z grona pedagogów liceum szczególnie pomagali **DANUTA KRYWALD, EUGENIUSZ LADEMANN, TADEUSZ CIESIULEWICZ** i **STANISŁAW STRYJEWSKI.** Nagrody i wyróżnienia na uroczystości zakończenia konkursu wręczał p. o. prezesa Oddziału Gdańskiego ZK-P dr **JÓZEF BORZYSZOWSKI.**

Był to pierwszy tego typu konkurs w orłowskim liceum. Zarówno dyrekcja szkoły jak grono pedagogiczne uznało jego organizację i przebieg za bardzo korzystne w procesie kształcenia młodzieży i zbliżania do problematyki regionu. Zapadło też postanowienie, że konkurs będzie kontynuowany w roku 1977 i latach następnych, jako stała wspólna liceum i Zrzeszenia impreza wakacyjna. Dyrekcja liceum z zainteresowaniem przyjęła też propozycję zorganizowania na początku lata 1977 r. pleneru dla grupy uczniów w checzy „Pomoranii" w Łączyńskiej Hucie. Ponadto wspólnie ustalono, że zgodnie z regulaminem konkursu, który przewidywał przekazanie prac którejś ze szkół na Kaszubach, tym razem pięknym pokonkursowym plonem obdarowana została szkoła podstawowa w Chwaszczynie. Uroczyste przekazanie daru odbyło się w lutym 1977 r.

(tr)

OKÓLNIK ODDZIAŁU GDAŃSKIEGO

Kolejny „Okólnik" Oddziału Gdańskiego ZK-P (datowany: październik 1976) dotarł do członków w listopadzie ub. r. Redaktor „Okólnika" prowadzi poprzez liczne noty i informacje (łącznie 12 stron) interesujący dialog z wszystkimi członkami naszego „stołecznego" oddziału.

* * *

7 października ub. r. odbyło się zebranie Komisji Historycznej Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, podczas którego, na wniosek Oddziału Gdańskiego ZK-P, wyłoniono podkomisję wydawniczą z zadaniem przygotowania publikacji związanych z **ZAPISEM MESTWINA.** Z ramienia Zrzeszenia uczestniczyli w zebraniu dr **WIKTOR PEPLIŃSKI** i mgr **JANUSZ PODGÓRSKI.** Na czele podkomisji stanął doc.

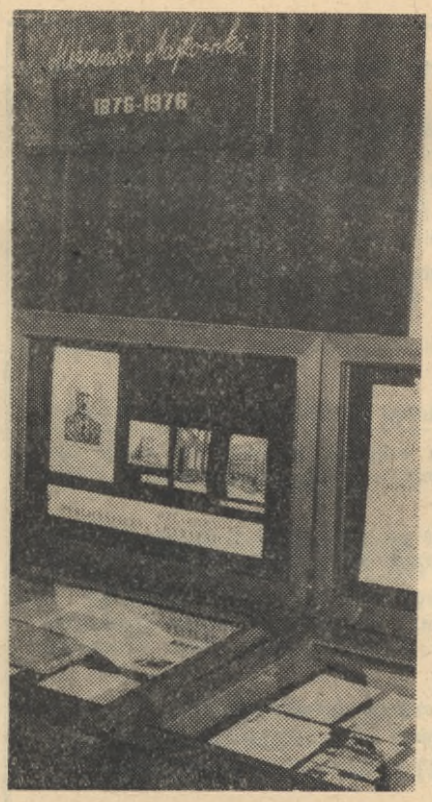

Fragment wystawy w Bibliotece Gdańskiej PAN poświęconej Aleksandrowi Majkowskiemu. Fot. A. Klejna.

dr **JAN POWIERSKI,** historyk, specjalista z zakresu średniowiecza pomorskiego. Jej członkiem został m. in. dr **WIKTOR PEPLIŃSKI.** W wspomnianym „Okólniku" czytamy na ten temat m. in.: „Podkomisja GTN przygotuje nie tylko plan publikacji naukowych i popularnonaukowych, lecz także propozycje odnośnie ogólnopolskiej sesji naukowej. (Może właśnie tę sesję należałoby odbyć w Kępnie?). Podkomisja stanęła na stanowisku, że układ kępiński trzeba rozpatrywać jako realne zapoczątkowanie procesu jednoczenia podzielonego na dzielnice państwa polskiego, zapoczątkowanie tym bardziej doniosłe, że dzięki połączeniu się Pomorza Gdańskiego z Wielkopolską, jej władca i sukcesor naszego Mściwoja II, mianowicie Przemysł II koronował się na króla Polski w 1295 r. Koronacja Przemysła, który przybrał tytuł króla Polski i księcia Pomorzan, była pierwsza po przerwie trwającej 216 lat, od koronacji Bolesława Śmiałego.

Stanowisko nasze jest całkowicie zbieżne ze stanowiskiem podkomisji wydawniczej GTN, któremu zresztą dawaliśmy wyraz od początku. Cieszymy się, że niezwykle ważną sprawę planu publikacji naukowych i popularnonaukowych wzięła na siebie wyspecjalizowana agenda Gdańskiego Towarzystwa Naukowego".

* * *

22 września ub. r. w hallu Biblioteki Gdańskiej PAN otwarto wystawę poświęconą życiu i twórczości Aleksandra Majkowskiego. Z ramienia Oddz. Gdańskiego wystawę przygotował dr **JÓZEF BORZYSZKOWSKI** przy współpracy córki pisarza, mgr **DAMROKI MAJKOWSKIEJ.** **(wj)**

TABLICA MAJKOWSKIEGO W SOPOCIE

10 grudnia córka **ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO, DAMROKA MAJKOWSKA** i prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, **STANISŁAW PESTKA,** dokonali odsłonięcia tablicy pamiątkowej na budynku przy ul. B. Bieruta w Sopocie. Na tablicy marmurowej wykuty jest tekst:

W DOMU TYM MIESZKAŁ
W LATACH 1912–1921
ALEKSANDER MAJKOWSKI
PISARZ I DZIAŁACZ KASZUBSKI
ZASŁUŻONY W WALCE
O POLSKOŚĆ POMORZA
W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN
ZRZESZENIE KASZUBSKO-POMORSKIE
TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ SOPOTU
1976

Do nielicznie zebranych uczestników uroczystego odsłonięcia przemówił, przypominając najważniejszy dorobek i zasługi Majkowskiego z okresu jego zamieszkiwania w b. Wolnym Mieście Gdańsku, prezes Zrzeszenia **STANISŁAW PESTKA.** Tablica została ufundowana wspólnym wysiłkiem Oddziału Gdańskiego ZK-P i Towarzystwa Przyjaciół Sopotu. Przedsięwzięcie to znalazło właściwe poparcie u władz miasta. Sekretarz KM PZPR **STANISŁAW WYSIECKI** obecny był na uroczystości.

Tablicę projektował i wykuł **EDWARD STELMACH,** a trud organizacyjno-inspiratorski dźwigali: **ZYGMUNT POTRAC** i **FRANCISZEK MAMUSZKA.** Samą uroczystość odsłonięcia prowadził prezes TPS doc. dr **ANTONI POSZOWSKI.** **(wj)**

20 LAT ZRZESZENIA

Skromnie ale dostojnie obchodziliśmy dwudziestą rocznicę powstania Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. W sobotę 4 grudnia w sali Mieszczańskiej Ratusza Głównomiejskiego w Gdańsku odbyło się poszerzone plenum Zarządu Głównego ZK-P. Za stołem prezydialnym zasiadło czterech prezesów, którzy przewodzili naszej organizacji w różnych okresach jej trudnego lecz niewątpliwie bogatego w

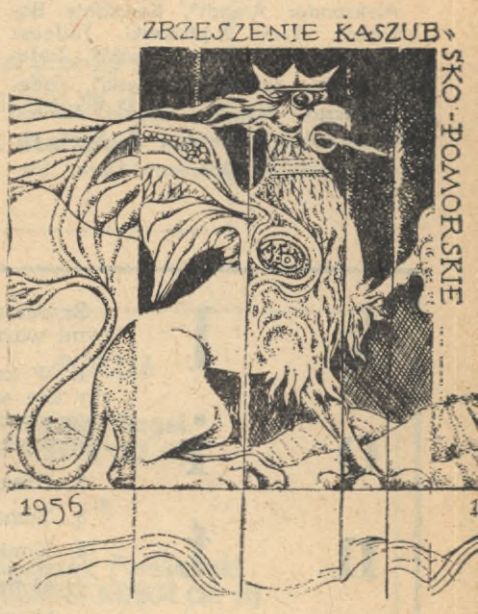

Grafika (również na okładce) Ryszarda Stryj

poczynania i dorobek dwudziestoletniego bytowania: **ALEKSANDER ARENDT, BERNARD SZCZĘSNY, JERZY KIEDROWSKI** i **STANISŁAW PESTKA.** Na sali zgromadzili się licznie członkowie Zrzeszenia, ci co zakładali Zrzeszenie, osoby aktywne w pierwszych latach, ci co od lat nie uczestniczą w jego poczynaniach, a także najmłodsi i ci co przez 20 lat dźwigają trud społecznego działania.

Dorobek Zrzeszenia w dwudziestoletnich nie zawsze łatwych dla efektywnej pracy latach omówił interesująco **STANISŁAW PESTKA.** Obradom przewodniczył **TADEUSZ BOLDUAN.** Wiceprezydent m. Gdańska **JÓZEF ŁACMAŃSKI** i wiceprzewodniczący WRN w Gdańsku **ŁUKASZ BALCER** udekorowali odznaką „Zasłużeni Ziemi Gdańskiej": **ROMUALDA ŁUKOWICZA, MIRONA ŁUKOWICZA, ALFONSA WYSOCKIEGO, WAWRZYŃCA SAMPA** i **KAZIMIERZA GRZĘDZICKIEGO.** Dyrektor Wydziału Kultury UW w Gdańsku – **JERZY KIEDROWSKI** wręczył członkom redakcji „Pomeranii" dyplomy honorowe za osiągnięcia w rozpowszechnianiu kultury przyznane przez ministra kultury i sztuki. Otrzymali je: **KONRAD CIECHANOWSKI, KRYSTYNA PUZDROWSKA, EDMUND PUZDROWSKI, STANISŁAW PESTKA, WOJCIECH KIEDROWSKI** i **JERZY SAMP.** Prezydium ZG Zrzeszenia przyznało również dla swoich dawnych i obec-

nych wyróżniających się członków a także instytucji i organizacji współpracujących z Zrzeszeniem specjalne dyplomy oraz teki grafik Ryszarda Stryjca przygotowane specjalnie na XX-lecie ZK-P. Nie tylko dla pełnej dokumentacji podajemy listę wyróżnionych. Kilka tek (odbitych w nakładzie 73 egz.) zostanie wręczonych w terminie późniejszym.

DYPLOMY 20-LECIA ZRZESZENIA OTRZYMALI:

Aleksander Arendt*, Konstanty Bączkowski, Lech Bądkowski, Tadeusz Bolduan*, Józef Borzyszkowski*, Tadeusz Bruski, Andrzej Bukowski*, Tadeusz Buszta, Witold Cerowski, Konrad Ciechanowski*, Stanisław Cygiert*, Łucjan Czyżewski, Klemens Derc, Stefan Fikus, Tadeusz Gleinert*, Jan Gruchała*, Kazimierz Grzędzicki*, Weronika Inglantowicz*, Edmund Kamiński*, Jerzy Kiedrowski*, Jerzy Kijak, Władysław Kirstein*, Robert Komkowski*, Edmund Konkolewski, Henryk Kotowski, Franciszek Kuffel, Ryszard Kukier, Bernard Kula, Bolesław Leszkowska, Hubert Lewna*, Szczepan Lewna, Ryszard Lorek*, Miron Łukowicz, Romuald Łukowicz, Bolesław Machut, Jan Machut*, Damroka Majkowska, Albin Makowski, Franciszek Mamuszka*, Feliks Marszałkowski*, Jacek Mielnik*, Zygmunt Narski, Adela Olejnik*, Kazimierz Ostrowski*, Jan Piepka, Gerard Pinker, Alojzy Plichta*, Edward Pobłocki*, Zygmunt Potrac*, Franciszek Ptach*, Edmund Puzdrowski*, Kazimierz Radtke, Leon Roppel*, Julian Rydzkowski, Jerzy Samp*, Zygmunt Stenke, Leon Stoltmann*, Zbigniew Stromski, Abdon Stryszak, Bernard Szczęsny*, Paweł Szefka, Jan Szwonka, Paweł Tarnowski*, Halina Terajewicz, Władysław Torliński*, Franciszek Treder, Jan Trepczyk*, Izabella Trojanowska*, Gertruda Węsierska*, Józef Węsierski*, Florian Wichłacz*, Roman Wilandt, Edward Woźniakowski, Franciszek Wyczyński, Alfons Wysocki*, Tadeusz Zieliński, Wojciech Kiedrowski* i Józef Plichta.

Osoby przy których nazwisku zamieszczamy rastyr otrzymały również pamiątkowy zestaw grafik z gryfami Ryszarda Stryjca. Teczki grafik otrzymali także:

Edward Breza, Jerzy Daszkiewicz, Zofia Janukowicz-Pobłocka, Stanisław Pestka, Wawrzyniec Samp, Andrzej Szczepański, Jerzy Treder, Elektrownia Wodna Żarnowiec w Budowie, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej.

Pamiątkowe grafiki zostały również wręczone wicekonsulowi konsulatu ZSRR w Gdańsku, Anastasemu Jurszenasowi, który brał udział w naszej uroczystości. (wj)

konkurs literacki

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie ogłasza otwarty konkurs literacki z następującymi warunkami.

1. W konkursie mogą wziąć udział tylko debiutanci, to znaczy wszyscy, którzy nie wydali dotąd książki. Opublikowanie utworów w prasie, wydawnictwach zbiorowych, radiu lub telewizji nie przeszkadza w uczestnictwie w niniejszym konkursie. Nie określa się granicy wieku.

2. Utwory nadesłane na konkurs mają być napisane po kaszubsku.

3. Tematyka utworów jest dowolna, według uznania ich autorów.

4. Konkurs dzieli się na dwa działy:

   a) proza (opowiadania, gawędy, humoreski),

   b) poezja.

5. Utwory konkursowe nie mogą być nigdzie dotąd publikowane, nawet w części.

6. W dziale prozy rozmiar tekstu (lub kilku tekstów łącznie) nie może być mniejszy niż 12 stron maszynopisu, w dziale poezji — zestaw przynajmniej pięciu wierszy, względnie poemat

7. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 kwietnia 1977 r. Należy je adresować: Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Długi Targ 8/10, 80-828 Gdańsk, z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki".

8. Tekst należy opatrzyć godłem (pseudonimem) i dołączyć do niego zamkniętą kopertę, w której będzie podane to samo godło oraz nazwisko, data urodzenia i adres autora.

9. W każdym z działów konkursu ustala się następujące nagrody:

   I nagroda — 6000 zł
   II nagroda — 4000 zł
   III nagroda — 2000 zł.

Możliwe jest także przyznanie specjalnej nagrody dla dwóch uczestników konkursu, którzy nie przekroczyli jeszcze 21 lat.

10. Na komisarza organizacyjnego konkursu powołano Edmunda Puzdrowskiego, do którego, na adres ZK-P podany wyżej, należy zwracać się z ewentualnymi zapytaniami szczegółowymi.

W BIURZE ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO 80-828 GDAŃSK, DŁUGI TARG 8/10 MOŻNA NABYĆ KSIĄŻKI:

PISMA ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

tom I – POMORZANIE 25 zł
tom II – ŻËCÉ I PRZIGODË REMUSA, pjerszi dzel 25 zł
tom III – ŻËCÉ I PRZIGODË REMUSA, drugi dzel 25 zł
tom IV – ŻËCÉ I PRZIGODË REMUSA, trzeci dzel 25 zł
tom V – STRACHË I ZRĘKOVJINË 20 zł

WSPÓŁCZESNA PIEŚŃ KASZUBSKA

z. 1 Jan Trepczyk, Juliusz Mowiński
RODNÔ ZEMIA (25 zł)

z. 2 Henryk Jabłoński
GROMICZNIK (25 zł)

BIOGRAFIE

Kazimierz Ostrowski
Z KASZUBSKIEJ GLEBY
O JANIE KARNOWSKIM (14 zł)

*

Tadeusz Bolduan
APOSTOŁ NARODOWEJ SPRAWY
O ANTONIM ABRAHAMIE (15 zł)

*

Leon Roppel
ZWYCIĘSTWO PIEŚNI
O LUBOMIRZE SZOPIŃSKIM (20 zł)

*

Hieronim Gołębiewski
OBRAZKI RYBACKIE (25 zł)

*

Anna Łajming
GDZIE JEST BALBINA? (15 zł)

POEZJA

Alojzy Nagel
ASTRË (27 zł)

*

Franciszek Fenikowski
KAMIENNE KRĘGI (20 zł)

*

Jan Zbrzyca
POŁUDNICA (30 zł)

*

Andrzej Grzyb
SKRAJEM LASÓW (14 zł)

*

Jan Drzeżdżon
W NIEDZELNI WIECZÓR (14 zł)

*

Lech Bądkowski, Wawrzyniec Samp
POCZET KSIĄŻĄT POMORZA GDAŃSKIEGO
(45 zł)

*

Lech Bądkowski
SYGNET ŚWIĘTOPEŁKA (35 zł)

*

Lech Bądkowski
LEGENDA O PUSTELNIKU (18 zł)

Cena 15,– zł

Krystyna i Konrad Ciechanowscy
TAJNA DZIAŁALNOŚĆ KULTURALNO-OŚWIATOWA
NA POMORZU W LATACH 1939–1945 (25 zł)

*

Anna Łajming
SYMBOL SZCZĘŚCIA (20 zł)

*

Konstanty Bączkowski
GAWĄNDI KOCIEWSKIE KUBI Z PIŃCZINA
(20 zł)

*

Józef Ceynowa
SKARB I MOC (20 zł)

*

Jan Mazurkiewicz
LOS ŻOŁNIERZA (30 zł)

*

Feliks Rogaczewski
WŚRÓD SŁOWIŃCÓW (30 zł)

*

Juliusz Pobłocki
NA KASZUBACH PRZED 100 LATY (20 zł)

*

SŁOWNIK BERNARDA SYCHTY (30 zł)
Album w opracowaniu
Wojciecha Kiedrowskiego

*

GRYF (jednodniówka – 5 zł)

*

Hieronim Derdowski
O PANU CZÔRLIŃSCIM CO DO PUCKA
PO SECE JACHÔŁ (25 zł)